Rośnie liczba imigrantów z Afryki w Polsce. Od 2017 odnotowano wzrost o 1200%!

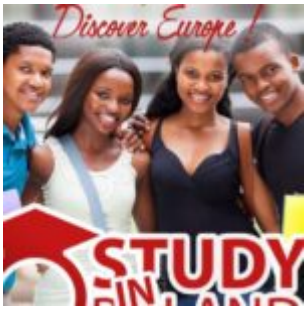

Polska z roku na rok staje się kolejnym europejskim krajem, w którym osiedla się coraz więcej mieszkańców Czarnego Lądu. Z oficjalnych badań wynika, że liczba udzielanych wiz studenckich i pracowniczych dla Afrykańczyków wzrosła o 1200%.

Z danych opublikowanych przez system RAD-on zajmującym się sporządzaniem raportów, analiz oraz zbieraniem danych o szkolnictwie wyższym i nauce w Polsce, wynika, że **na polskich uczelniach studiuje** więcej osób z takich krajów jak Nigeria (2 tys.), Zimbabwe (2,4 tys.), Niemcy (1,2 tys.), Czechy (1,5 tys.) i Rosja (1,6 tys.). Dodajmy, że Zimbabwe to niewielki kraj zamieszkały przez 15 milionów obywateli położony na południu Afryki. Skąd wzięli się w Polsce? W Afryce prowadzone są kampanie zachęcające Afrykańczyków do przybywania do naszego kraju, a ci, dodatkowo zachęceni obrazkami z Europy dostępnymi w mediach społecznościowych, chętnie korzystają z ofert polskich uczelni. Poniżej prezentujemy plakat Wyższej Szkoły Społeczno-Przyrodniczej w Lublinie, która już w 2019 roku kolportowała plakaty z hasłem “Come to Poland. Discovere Europe”.



Na stronach internetowych z Zimbabwe można znaleźć wiele

informacji na temat tego jak można dostać się do Polski i uzyskać wizę studencką. Wskazuje się, że otrzymanie wizy studenckiej w Polsce nie jest trudne. Poniżej zamieszczamy zrzut ekranu z portalu newzimbabwe.com.



Jak prezentuje się **kwestia imigrantów zarobkowych**? Tendencji wzrostowej nie zatrzymała nawet pandemia. Z kilkuset osób rocznie kilka lat temu do kilkunastu tysięcy prawdopodobnie w tym roku – wynika z raportu Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej [“Praca dla cudzoziemców”](). A to oznacza, że liczba Afrykańczyków w Polsce sięgnie setek tysięcy. Jeżeli zestawimy to z faktem, że od lat do Polski przybywają tysiące Azjatów oraz miliony Ukraińców, to Polska za kilka lat stanie się krajem multikulturalnym na wzór Niemiec, Francji czy Szwecji.

Na portalu Salon24 zamieszczono wybrane fragmenty raportów, które potwierdzają prawdziwość wyżej podniesionych kwestii.

Liczba wydanych zezwoleń na prace dla imigrantów z Afryki w Polsce						
Rok	**2017**	**2018**	**2019**	**2020**	**2021**	**Łącznie**
Ogółem	702	1532	2987	4441	9106	18768
Mężczyźni	583	1248	2336	3527	6919	14613
Kobiety	119	284	651	914	2187	4155
Odsetek mężczyzn	83%	81%	78%	79%	76%	78%
Odsetek kobiet	17%	19%	22%	21%	24%	22%

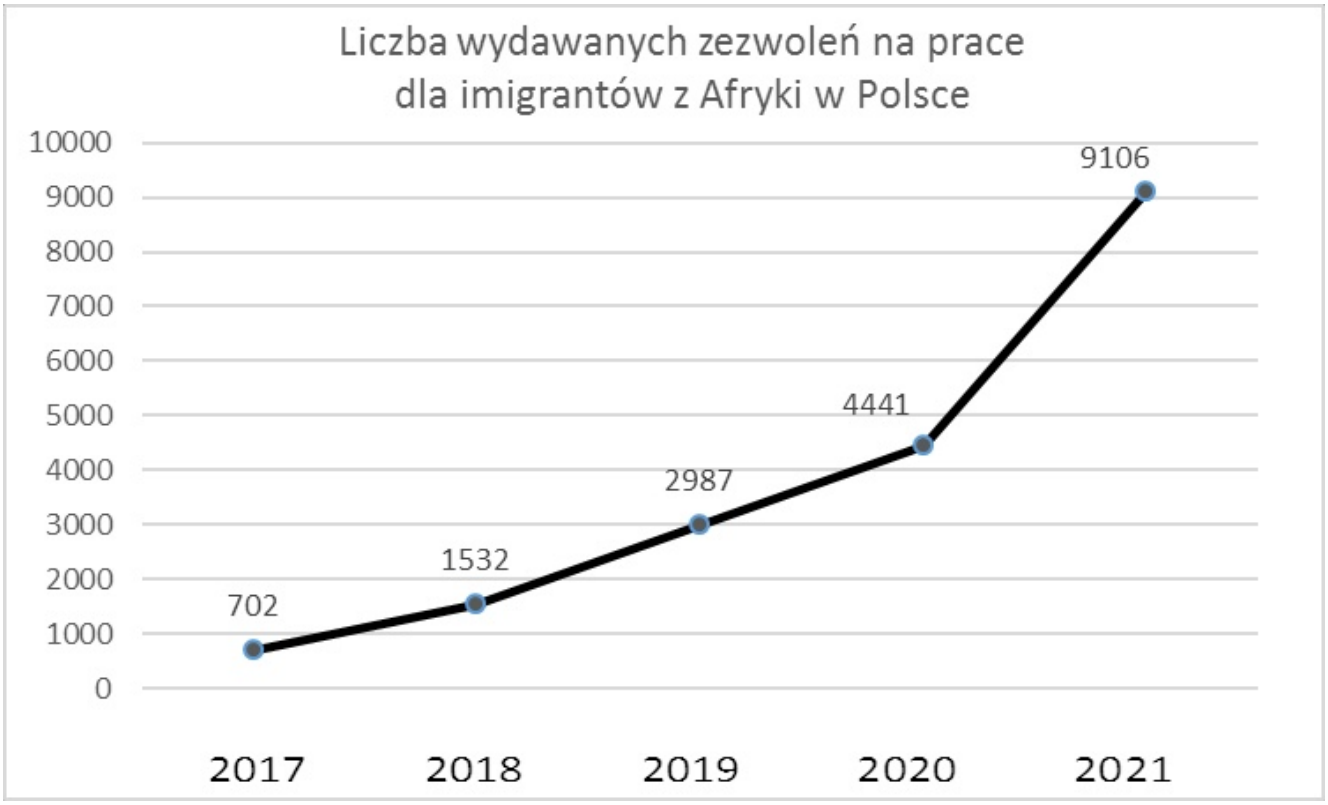

Liczba wydanych w Polsce zezwoleń na prace dla imigrantów z Afryki w 2021 roku						
Pozycja	Kraj	Kobiety	%	Mężczyźni	%	Łącznie
1	Etiopia	452	21%	1713	79%	2165
2	Nigeria	132	13%	855	87%	987
3	Uganda	404	45%	500	55%	904
4	Kenia	245	31%	534	69%	779
5	Rwanda	206	30%	480	70%	686
6	Kamerun	132	27%	365	73%	497
7	Ghana	68	14%	419	86%	487
8	Maroko	58	12%	421	88%	479
9	Egipt	20	5%	359	95%	379
10	Zimbabwe	116	32%	244	68%	360
11	Tunezja	38	15%	213	85%	251
12	Algieria	14	6%	214	94%	228
13	Republika Południowej Afryki	102	52%	93	48%	195
14	Demokratyczna Republika Konga	34	33%	68	67%	102
15	Kongo	19	26%	55	74%	74
...	Reszta	147	28%	386	72%	533
...	**Wszystkie**	**2187**	**24%**	**6919**	**76%**	**9106**

Innym czynnikiem zachęcającym wydaje się być rynek matrymonialny. Obecna popkultura promuje związki międzyrasowe. Zdecydowana większość takich wątków dotyczy właśnie związków białych kobiet i czarnych mężczyzn. Nie jest tajemnicą że w Afryce seks z blondynką to szczyt marzeń wielu młodych mężczyzn. Tam także mężczyźni mają już dostęp do internetu a co za tym idzie portali pornograficznych. Do Polski mężczyźni z Afryki przyjeżdżają w licznej nadreprezentacji w stosunku do kobiet. W latach 2017-2021 stanowili średnio 78% wszystkich imigrantów. Normą jest że cudzoziemiec w Polsce znajduje sobie partnerkę. To może pogorszyć jeszcze bardziej i tak fatalną sytuację mężczyzn na polskim rynku matrymonialnym. Już dzisiaj w dużych miastach częstym widokiem są pary Polek z czarnoskórymi mężczyznami. Masowa imigracja która ma miejsce od kilku lat w Polsce zaburza proporcje płciowe wśród osób w wieku produkcyjny – czytamy w analizie zamieszczonej na Salon24.pl.

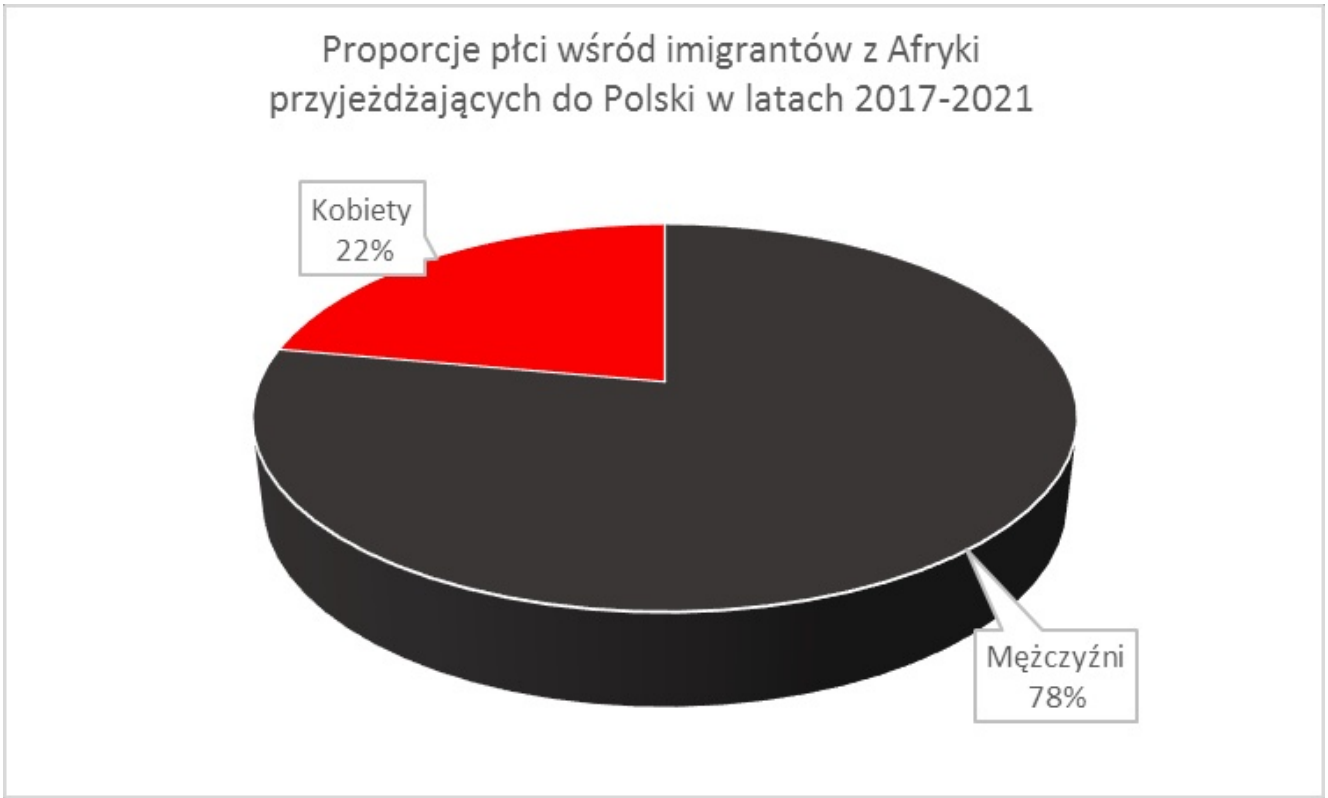

Źródło

Ukraińcy plują Polakom w twarz! Ukraińska piosenkarka nagrała utwór wychwalający Banderę



W sobotę (19.11.2022) ukraińska piosenkarka Kristonko opublikowała na YouTube piosenkę pt. „Bandera”, w której

pojawiają się słowa „Batko nasz Bandera”. – Przyszedł mi do głowy pomysł, aby zrobić coś, co nie byłoby podobne do piosenek, które napisałam wcześniej. (…) Usiadłam do fortepianu i wtedy w mojej głowie pojawiły się słowa „Ciała naszych wrogów spoczną w ukraińskiej czarnej ziemi”. To zdanie tak bardzo utkwiło mi w głowie, że dosłownie w 10 minut napisałem całą piosenkę – czytamy w opisie teledysku.

– Ciała naszych wrogów spoczną w ukraińskiej czarnej ziemi, wyślemy okupantów tam gdzie rosyjski statek, nasi żołnierze złamią zgniły tron na Kremlu (…) Zatrzymaliśmy czołgi nie mając broni (…) Batko nasz Bandera, wasz koniec jest bliski (…) Jesteśmy zjednoczeni na wieki i kozacki duch jest w naszych duszach. Zrozumieliśmy, kto jest naszym wrogiem, a kto przyjacielem. Pamiętamy, kto nauczył nas walczyć. To ojczulek nasz, Bandera, gdyby ktoś nie wiedział – śpiewa Kristonko.

Przez dwa tygodnie film z piosenką o Banderze uzyskał prawie 700 tysięcy wyświetleń. Polscy internauci zamieścili pod nim setki komentarzy, w których pisali o zbrodniczej ideologii banderowskiej, ukraińskim ludobójstwie na Polakach i wskazywali, że gloryfikacja Bandery jest ta samo niedopuszczalna jak gloryfikacja Hitlera. Film był też zgłaszany jako naruszający zasady YouTube.

W środę (7.12.2022) teledysk z piosenką „Bandera” zniknął z publicznie dostępnych filmów na kanale piosenkarki i oznaczony jest jako prywatny. Natomiast nadal można go oglądać na YouTube na kanałach innych użytkowników. Tam również działają polscy internauci, którzy zamieszczają komentarze o ukraińskim ludobójstwie na Polakach i zgłaszają film do usunięcia.

Ukraińcy plują nam w twarz gloryfikując swojego „batkę” Banderę. Musimy dać temu odpór! Wyszukujcie konta publikujące tę piosenkę, Piszcie w komentarzach, kim był Bandera i zgłaszajcie film do usunięcia.

https://youtu.be/O9tAb9ZCyRM

Źródło

Polacy nie ulegają propagandzie



Opublikowane ostatnio wyniki sondaży opinii publicznej na temat stanowiska Polaków wobec konfliktu na Ukrainie – całkowicie burzą obraz jaki serwuje nam od początku tej wojny rządowa i opozycyjna propaganda.

Gdyby wsłuchiwać się tylko w głos mediów i polityków, to praktycznie cały naród polski ma jedno i te samo zdanie – trzeba popierać Ukrainę w każdej formie, aż do końca, musimy to robić, bo Ukraina walczy nie tylko o swoją wolność, ale także za nas, bo jak padnie, to Rosja rzuci się na nas. Taka narracja jest obowiązująca, i powtarzana, np. przez premiera Morawieckiego, prawie codziennie. O mediach nie wspomnę, każdy program TVP, TVP Info czy TVN zaczyna się i kończy tak samo – stały się one bezkrytyczną tubą propagandy ukraińskiej, w wielu kwestiach wyjątkowo prymitywnej. Czegoś takiego, w takiej skali i w takim wydaniu, nie ma nigdzie w Europie, może poza krajami bałtyckimi.

W tej sytuacji, wobec braku alternatywy i zamykania ust tym, którzy tej narracji nie podzielają – wydawało się, że Polscy ulegli całkowicie psychozie strachu i bezkrytycznej sympatii

do Ukrainy, co skłania ich do akceptowania każdej formy pomocy jej udzielanej. Tymczasem prawda jest inna. Jak wynika z badań opinii publicznej opublikowanych przez „Dziennik Gazetę Prawną” (21.11.2022) – Polacy akceptują tylko niektóre formy pomocy dla Ukrainy, innych zaś nie akceptują lub nawet wprost odrzucają.

W skrócie powiedzmy, że w porównaniu z badaniami z marca br. – nadal utrzymuje się wysokie poparcie dla pomocy humanitarnej (80 proc.) i przyjmowania uchodźców (68 proc.). W tym przypadku odnotowano spadek w stosunku do marca odpowiednio o 6 i 7 proc. Jeśli chodzi o inne formy pomocy to poparcie gwałtownie maleje – wysyłać lekką broń na Ukrainę chce nadal 58 proc. respondentów, ale już ciężkiej (czołgi, samoloty) już tylko 32 proc. W tym ostatnim przypadku poparcie spadło aż o 14 proc. Mimo to polski rząd przekazał i przekazuje Ukrainie ogromne ilości broni, w tym czołgi i ciężką artylerię – a skala tej pomocy jest ukrywana przed opinią publiczną.



Polacy nie akceptują też udziału naszych obywateli w walkach na Ukrainie (popiera to tylko 17 proc.), a także pomocy finansowej dla Ukrainy (popiera tylko 27 proc.). Najciekawszy jest jednak ostatni punkt – na pytanie czy Wojsko Polskie powinno iść na pomoc Ukrainie, tylko 1 proc. uznało, że tak, podczas gdy w marcu ten odsetek wynosił 11 proc., co tak było wynikiem słabym. Wreszcie ostatni sondaż dotyczący pytania – czy Polacy boją się ataku Rosji na Polskę? Okazuje się, że obawia się tego 20,9 proc., z czego tylko ułamek (2-4 proc.) zdecydowanie tak. Co ciekawe, w marcu br. – w szycie wojennej histerii – ten odsetek był tylko trochę wyższy.

Tak więc, obecnie – ponad 65 proc. respondentów nie wierzy w propagandę rządu i opozycji. Nie ma więc racji prof. Antoni Dudek twierdzący, że: „To dowód na to, że oswajamy się z wojną. Ludzie racjonalnie oceniają sytuację. Widzą, że Putin nie wygrywa, nie zmienił tego wypadek z rakietą. Tym bardziej że okazała się ukraińska". To tylko część prawdy, porównanie wyników sondaży z marca i obecnych skłania bowiem do wniosku, że w rosyjską napaść nawet wtedy nie wierzyła większość Polaków.

Jakie z tego płyną wnioski? Po pierwsze, Polacy nie dali się zwariować, choć okazali się bierni wobec sytuacji, kiedy państwo polskie i opozycja prowadzą zupełnie inną politykę. Po drugie, że na scenie politycznej nie żadnej siły, która wyrażałaby w pełni prawdziwe preferencje dużej części społeczeństwa. Po trzecie, Polacy woleliby żeby państwo polskie realizowało politykę taką, jaką prowadzą Węgry (pomoc humanitarna tak, militarna i finansowa nie). Dlaczego tak się stało? Bo „elity" polityczne i media wytworzyły psychozę strachu i zakłamania – PiS i opozycja wzajemnie się szachują oskarżeniami o sprzyjanie Rosji i o agenturalność, każdy głos rozsądku jest tłumiony w zarodku, a ci, którzy by się odważyli wiedzą, że mogą za to słono zapłacić.

Jan Engelgard

Nie Niemcy Polakom a Polacy Żydom



„Jeżeli by państwo Izrael było zainteresowane jakimś udziałem w tym przedsięwzięciu, udziałem oczywiście z odpowiednimi skutkami finansowymi w dalszym etapie, to my jesteśmy na tego rodzaju działania, tego rodzaju rozmowy – bo najpierw trzeba o tym rozmawiać – otwarci" – zadeklarował Jarosław Kaczyński.

Wygłoszone podczas prezentacji raportu o stratach poniesionych przez Polskę podczas wojny słowa przerażały. Kaczyński wrócił do swego wcześniejszego pomysłu – Żydzi pomogą nam w zmaganiach z Niemcami, a my podzielimy się z nimi łupem. Poroniony pomysł ma już swoją historię – gdy kongres USA uchwalił Ustawę 447, prezes PiS nie reagował, negował płynące z tego zagrożenia i mamił opinię publiczną tym, że spłata roszczeń Żydom nie naruszy interesów Polaków, bo zostanie zrekompensowana odszkodowaniami wojennymi od Niemiec. Innymi słowy rzucił pomysł – dać obskubać się Żydom przez obskubanie Niemców. I to w tym wszystkim było najbardziej niebezpieczne. Bo o ile prawdopodobieństwo uzyskania reparacji jest niewielkie, o tyle dla Żydów jest to ostateczne uznanie przez Polskę ich roszczeń.

Istotą żydowskiej machinacji jest bowiem: Samo przystąpienie do rozmów jest uznaniem zasadności roszczeń, a do uzgodnienia

pozostaje tylko ich wielkość.

Kilka dni po wystąpieniu Kaczyńskiego, „Times of Israel", w tekście Judah Ari Grossa „W roszczeniach wobec Niemiec Polska domaga się odszkodowań za Żydów zabitych przez Polaków" napisał: W raporcie opublikowanym przez polski rząd przytoczono śmierć Żydów zabitych przez polskich cywilów, w oczywistej próbie wybielenia polskich zbrodni. W wykazie 9293 wsi, w których miały miejsce „nazistowskie okrucieństwa niemieckie" znalazły się wsie, w których miały miejsce polskie pogromy na Żydach, w tym wieś Jedwabne, gdzie ponad 300 Żydów zostało żywcem spalonych przez etnicznych Polaków. Gazeta przytacza wypowiedź prof. Jana Grabowskiego: „Umieszczenie na liście okrucieństw dokonanych na Żydach przez polskich cywilów i polskie władze było absolutnie przerażające […] bulwersujące jest przede wszystkim „zapisanie" na konto niemieckie zbrodni dokonanych przez Polaków na Żydach. Polska zwraca się do Niemiec, aby wypłaciły Polakom odszkodowanie za Żydów, których Polacy sami wymordowali.

Przypadek? Przypomnijmy, że kilka tygodni temu Polskę zaatakowała dziennikarka CNN, pytając prezydenta RP, czy polska pomoc dla Ukrainy nie jest próbą naprawienia krzywd polskich obozów koncentracyjnych? Przypomnijmy, że żądania zwrotu majątków pożydowskich **zawsze wyprzedzają alarmujące raporty o wzroście antysemityzmu w Polsce.** Przypomnijmy też, że na niwie grillowania w ten sposób polskich polityków organizacje roszczeniowe mają wielkie osiągnięcia, a dowodów, i to spektakularnych, dostarcza historia kontaktów polsko-żydowskich ostatnich lat.

Od Niemców nie dostaniemy nic. Wypłacimy za to Żydom odszkodowania za zbrodnie Niemców – czy tak skończy się intryga Kaczyńskiego?

Podobny, poroniony schemat postępowania przećwiczyliśmy – od 2014 roku wypłacamy Żydom odszkodowania za zbrodnie na Żydach, których dopuścili się Niemcy i za zbrodnie na Polakach,

których dopuścili się Żydzi. Odpowiedzialny w MSZ za kontakty z diasporą żydowską uzasadniał to tak: „Do miesięcznych świadczeń kwalifikuje się każdy mieszkający w Izraelu, kto urodził się, jako obywatel polski, ucierpiał podczas wojny pod okupacją niemiecką bądź też ukrywał się lub był zmuszony opuścić Polskę lub też urodził się po wojnie w rodzinie, która została zmuszona do opuszczenia Polski, a więc jako dziecko miał udział w ich losach i prześladowaniach. To samo dotyczy małżonka. To samo dotyczy kolejnej okupacji, sowieckiej, do roku 1956".

Tylko w pierwszym roku obowiązywania ustawy o takich rentach ZUS wypłacił 240 mln złotych. Dodajmy, że Polska wypłaca równocześnie obywatelom Izraela wysokie emerytury resortowe (*de facto* za zbrodnie popełnione w okresie stalinizmu na narodzie polskim), a gdy **1 października 2017 r. weszła w życie tzw. ustawa deubekizacyjna i na jej mocy emerytury i renty byłych funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa zostały radykalnie obniżone, nie objęła pobierających takie świadczenia żyjących w Izraelu.**

Coś nieprawdopodobne! To nie Niemcy, a Polska wypłaca świadczenia tym, którzy przeżyli holokaust.

Polska otwarła tym samym kanał wypłat odszkodowań za mienie pożydowskie, podjęła kolejny krok w procesie restytucji mienia żydowskiego. Utworzyła nową kategorię beneficjentów odszkodowań – tych, którzy „doznali szkody na terenach należących do Polski", czyli każdego przybyłego do Izraela bandytę z UB lub KBW („poszkodowanego" przez żołnierza wyklętego) lub każdego emigranta z Marca '68, który uciekł przed polskim wymiarem sprawiedliwości.

Doszło do absurdalnej sytuacji – Żyd, który przeżył niemiecką okupację, zatrudnił się w zbrodniczym MBP, a później uciekł z Polski, dostaje comiesięczne wsparcie finansowe od swoich ofiar, a jeśli zmarł to pieniądze inkasuje jego dzieci i żona (też często funkcjonariusz bezpieki). Natomiast Polak, który

przeżył niemieckie łapanki lub, narażając życie, ukrywał w czasie okupacji Żyda, z własnych podatków płaci co miesiąc odszkodowanie temu Żydowi.

I jeszcze jedno – takiej pomocy finansowej nie otrzymują Polacy deportowani w głąb ZSRR przez żydowską milicję wspomagającą sowietów na Kresach po 17 września 1939 r. Kwoty są ogromne. Wypłata 100 euro dla tysięcy obywateli Izraela to wydatek 20 milionów złotych. A nie chodzi o jednorazową wypłatę, tylko comiesięczną – co oznacza ćwierć miliarda rocznie! Wg władz Izraela, beneficjentów jest 50 tysięcy, ale znając życie, można być pewnym, że znalazło się ich znacznie więcej. Tym bardziej, że holokaustowa mafia uelastyczniła definicję „ofiar holokaustu", rozciągając ją na wszystkich Żydów, którzy przeżyli wojnę i wypracowała inną oryginalną formułę – zaliczania do ofiar „tych, którzy się z tego powodu nie urodzili" (copyright Szewach Weiss). I jest oczywiste, że przy takim podejściu, liczba beneficjentów rent (i kwota wypłat), z roku na rok rośnie w postępie geometrycznym.

Doroczny raport Departamentu Stanu, będący załącznikiem do Ustawy 447, krytykując Polskę za brak „kompleksowego ustawodawstwa dotyczącego restytucji mienia lub odszkodowań za konfiskaty związane z Holokaustem", wymienia także „pozytywne" działania naszego kraju. Wśród nich to, że Polska przeznacza fundusze publiczne na rzecz ocalałych z Holokaustu. „Ustawa z 1991 roku o kombatantach i ofiarach represji wojennych i okresu powojennego umożliwia wypłatę świadczeń uprawnionym kombatantom II wojny światowej oraz ofiarom represji. Na podstawie tej ustawy osoby ocalałe, które były więzione w gettach, obozach koncentracyjnych, obozach pracy i obozach śmierci uzyskały prawo do świadczeń finansowych, w szczególności świadczeń emerytalnych i rent inwalidzkich. Według danych otrzymanych w połowie 2019 r. z MSZ RP, od momentu wejścia w życie ustawy rząd wypłacił 28,4 miliarda złotych (7,5 miliarda USD) w formie rent i emerytur. Świadczenia te przysługują również uprawnionym ocalałym,

którzy byli polskimi obywatelami w czasie Holokaustu, a później wyemigrowali. […] W 2014 r. Polska przyjęła ustawę, na mocy której osoby ocalałe z Holokaustu pochodzące z Polski, bez względu na obecne miejsce zamieszkania, otrzymują comiesięczne świadczenie w wysokości równej świadczeniom otrzymywanym przez emerytów w Polsce" – tyle raport.

Nie tylko nie dostaniemy od Niemców, ale odszkodowania wypłacimy Niemcom za mienie za Ziem Odzyskanych – czy tak skończy się machinacja Kaczyńskiego? **Tu przypomnijmy –** 6 sierpnia 2004 roku, na łamach nowojorskiego „Forward", Nathaniel Popper nawoływał do tego, by Żydzi i Niemcy wspólnymi siłami zaspokajali swoje roszczenia majątkowe wobec Polski. Wg Poppera wysuwanie roszczeń ma dziś jednoczyć Żydów i Niemców. Tekst nosi znamienny tytuł: „Bitwa roszczeniowa rozszerza się na polski front. *W*spólna walka Żydów i etnicznych Niemców stwarza nową sytuację w historii roszczeń tych, którzy przeżyli Holokaust. Nowe światło pada na odmowę Polski zaspokojenia roszczeń majątkowych". W artykule znalazł się uderzający zwrot *„Holocaust survivors" (ci,* którzy przeżyli holokaust), jako nowa kategoria obejmująca wspólnie Żydów i Niemców. Do niedawna za tych, którzy przeżyli holokaust Żydzi uznawali wyłącznie Żydów. Teraz w kategorii tej umieszczają także Niemców, połączonych z Żydami w ruchu roszczeniowym przeciw Polsce.

Skoro jesteśmy przy trójkącie Polska-Niemcy-Izrael, to nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Żydzi uzyskali od Niemców odszkodowania w ramach tzw. porozumień luksemburskich, zawartych przez Adenauera i Ben Guriona. Ale czy tylko od Niemców? Z umowami tymi związany jest problem utraty odszkodowań, które za śmierć trzech milionów obywateli polskich pochodzenia żydowskiego przechwycił (i nadal przechwytuje) Izrael. Bo zgodnie z europejską doktryną prawną, niemieckie odszkodowania wypłacone Izraelowi powinny były trafić głównie do Polski, tj. kraju, którego obywatelami **była większość pomordowanych**, a nie do Izraela, który w czasie

holokaustu jeszcze nie istniał. Zdominowany przez żydokomunę rząd Bieruta, Bermana i Minca nie protestował. Równie haniebne było zrzeczenie się przez tą szajkę odszkodowań wojennych od Niemiec (aby ulżyć Niemcom w spłacie odszkodowań dla Izraela?) oraz uwzględnienie w umowach indemnizacyjnych odszkodowań dla Żydów niemieckich za mienie z terenów polskich Ziem Odzyskanych, w tym Gdańska.

Dawid Wildstein powiedział, że Izrael może stać się głównym sojusznikiem Polski w walce z polityką historyczną Niemiec. Tę piramidalną bzdurę wzbogacił stwierdzeniem o Izraelu – ważnym wektorze polskiej polityki historycznej. Tymczasem polityki historyczne Niemiec i Izraela są zbieżne i polegają na wmanipulowaniu Polski i Polaków we współodpowiedzialność za holokaust i tym samym za grabież mienia ofiar. Interes Niemiec jest tu jasny – pozbycie się historycznego garbu poprzez przerzucenie go na Polaków. Interes środowisk żydowskich – to kasa. W tym kontekście wypłacanie przez Polskę, a nie Niemcy, rent obywatelom Izraela, którzy przeżyli holokaust jest rzeczą skandaliczną. Także dlatego, że oznacza włączenie się rządu RP do antypolskiej polityki historycznej Żydów i Niemców utrzymującej kłamliwie, że Polacy są współodpowiedzialni za holokaust. Z takiej polityki bierze się również to, że „odkrycia naukowe" żydowskich profesorów: Aliny Całej, Jacka Leociaka i Barbary Engelking, które powtarzają, że Żydom było łatwiej przeżyć w niemieckich obozach koncentracyjnych, niż wśród Polaków, są finansowane przez Fundację Adenauera i Claims Conference, tj. organizację będącą stroną porozumień luksemburskich i założycielem Światowej Organizacji Restytucji Mienia Żydowskiego. I tu pytanie: Dlaczego owych „naukowców" tłustymi naukowymi grantami futrują także instytucje Państwa Polskiego?

Czy, zamiast wzywać Żydów na pomoc, nie lepiej kopiować żydowskie metody w wymuszaniu odszkodowań? W „przemyśle holokaustu", jako taktyka i środek nacisku w negocjacjach biznesowych, ważną rolę odgrywa polowanie na antysemitów. Taką

nalepkę Żydzi przyklejają każdemu, kto nie płaci, mało płaci lub zagraża ich finansowym interesom. Żydzi nieprzerwanie narzucają światu dogmat o „wyjątkowości żydowskiego cierpienia" i nie dopuszczają na tym polu do żadnej konkurencji, bowiem status największej (jeśli nie jedynej) ofiary w dziejach ludzkości wiąże się z bardzo konkretnymi i namacalnymi korzyściami materialnymi.

Dlaczego, zatem my nie przedstawiamy się jako największe ofiary, nie przypominamy że straty Polski w ludziach i majątku były nie mniejsze od żydowskich, a materialne nieporównanie większe oraz że Niemcy wypłacili odszkodowania wszystkim, tylko nie nam?

Roszczeniowcy żydowscy nie wdają się w dyskusję o podstawach prawnych. Używają za to argumentów: „Ponieważ cierpienia Żydów były największe i unikalne, oddzielne prawo odnoszące się do Żydów powinno być rozważone". Mówią o „specjalnej ścieżce prawnej", o „oddzielnym prawie", o „specyficznej i odrębnej legislacji", o „roszczeniach, które nie są prawnie wiążące, ale są wiążące moralnie". Dlaczego, zatem my, zamiast wdawać się w spory prawne z Niemcami, nie stosujemy argumentów podobnych do żydowskich? Można by też odwrócić słowa Barbary Engelking z Żydowskiego Instytutu Historycznego, i mówić: „*Dla Niemców śmierć to była kwestia biologiczna, naturalna, śmierć jak śmierć. Dla Polaków to była tragedia, dramatyczne doświadczenie, metafizyka*". Przy temacie „uczyć się od Żydów" pamiętajmy też, że Żydzi swój modus operandi z powodzeniem stosują, dzięki wsparciu międzynarodowemu i temu, że ich macki sięgają wszędzie. Układajmy więc stosunki ze wszystkimi sąsiadami, w tym z Rosją. Zdobywajmy nowych sojuszników. Budujmy koalicję światową wokół pamięci o zbrodniach Niemców na Polakach.

My robimy dokładnie odwrotnie – pozwalamy innym na propagandowe wykorzystywanie naszych tragedii, a nawet sami podsuwamy pomysły. Przykładem przyrównanie zniszczeń Warszawy do zniszczenia kilka chałup w Mariupolu. Inny przykład, też z

ostatnich dni: wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński, komentując doniesienia o odkryciu miejsca pochówku 440 ciał w ukraińskimIzjum, wygłupił się na Twitterze: „Przerażające. I nie da się nie porównać tego do Katynia”. I żeby było jeszcze straszniej, propagandowy portal rządowy „wPolityce” opatrzył durny wpis entuzjastyczną oceną: „Mocny wpis Jabłońskiego”. I jeszcze jedno – wśród polskich polityków nie ma Panów, są kmioty zalęknione, którzy, zamiast odważnej, twardej i zdecydowanej ofensywy, są potulni, tchórzliwi merdają ogonkiem, zabiegają o’certyfikat koszerności’ i… dogadują się z agresorem ponad głowami Polaków.

Na pytanie, czy ekipa przy władzy chce zaspokoić żydowskie roszczenia, odpowiedź brzmi – tak, zdecydowanie tak. Sytuacja jest jasna, przeraźliwie jasna. Wszystko wskazuje na to, że decyzja już zapadła i utrzymywana jest w tajemnicy, zanim pojawi się dogodna okazja.Lekką ręką wypłacili Żydom miliardy z umów indemnizacyjnych, w tym za majątki z Ziem Odzyskanych. Lekką ręką zwrócili mienie bezspadkowe gminom żydowskim i pozwolili na transfer wyszabrowanych pieniędzy na konta nowojorskich organizacji żydowskich. Lekką ręką dają miliardy żydowskim oligarchom, p*rzeznaczając*20 procent budżetu państwa na pomoc dla Ukrainy. Dlaczego nie mieliby lekką ręką wypłacić odszkodowań Żydom i powiedzieć: „Polacy, nic się nie stało”?

Co do Ukrainy, to przypomnijmy: 16 maja szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Michał Dworczyk ogłosił w Kijowie, że Polacy (nie Rosjanie!) sfinansują dwa nowe programy pomocowe dla Ukrainy*: dobroczynny dla kobiet-żołnierzy uwolnionych z niewoli rosyjskiej i stałą pomoc dla sierot, które straciły ojców zabitych przez Rosjan.* Szczegóły zdradził wicepremier Ukrainy: „program ma objąć pomoc materialną, w tym mieszkaniową, ponieważ wiele osób straciło domy”. Kilka dni wcześniej inkryminowany Dworczyk zapowiedział:„Gdy otrzymamy środki z KPO powinniśmy pewną częścią wspomóc Ukrainę”. A mówił o wielkich pieniądzach, bo w ramach KPO Polska ma mieć do dyspozycji 76 miliardów euro. Ale na tym nie koniec –

niedawno oświadczył: „Sami zadeklarowaliśmy chęć odbudowy obwodu charkowskiego. Charków to drugie co do wielkości miasto na Ukrainie”. Czyli odbudujemy Charków w ramach polskich reparacji dla Ukraińców tak, jak wcześniej odbudowaliśmy Warszawę bez reparacji niemieckich.

Że nie są to fantasmagorie publicysty, niech świadczy propozycja Szymona Hołowni. W rozmowie z PAP, wypowiadając się na temat reparacji od Niemiec, rzekł: „Ja dzisiaj w ramach domagania się reparacji dla Polski domagałbym się uzbrojenia Ukrainy. Strategicznym interesem Polski byłoby oczekiwanie, że jeżeli Niemcy mają rzeczywiście pójść do przodu i jakoś rozliczyć się moralnie, ale też i finansowo […], to powinni zbroić Ukrainę”. I jeszcze jedno – czy pomysły Hołowni i Dworczyka to nie idealna, napisana w Berlinie wrzutka dla rozbrojenia tematu niemieckich reparacji dla Polski? Hołowni sekundował Arkadiusz Mularczyk: „Cywilizacja zachodnia opiera się na odpowiedzialności agresora za wyrządzone szkody ofiarom ataku. […] Dlatego Rosja musi zapłacić reparacje wojenne Ukrainie, a Niemcy muszą zapłacić Polsce”. W takiej sytuacji nie można wykluczyć, że już wkrótce wystąpią z kolejnym pomysłem – odebrać Niemcom i dać Ukraińcom. Jak też nie można wykluczyć, że Morawiecki mianuje Dworczyka pełnomocnikiem ds. narodowego programu zwrotu mienia Ukraińcom i wyśle go do Charkowa.

Czy to nie Polska, wykorzystując sprzyjającą koniunkturę, powinna wystąpić o odszkodowanie za mienie wysiedlonych Kresowiaków? Zwłaszcza, że Ukraina jest w przededniu wielkiej prywatyzacji, mienie to wpadnie niechybnie w żydowskie łapy, i wszystko skończy się jak zawsze – Żydzi wyrwą od Ukraińców, co trzeba, a my będziemy się tylko przyglądać. Nie można też nie zauważyć mamienia opinii publicznej tym, że wielomiliardowa „pomoc” dla Ukrainy nie narusza interesów Polaków, bo zostanie zrekompensowana wypłatami od… Rosjan! Chodzi o postulat Morawieckiego pozyskania kosztów „pomocy” przekazanej oligarchom ukraińskim i kosztów odbudowy ich majątków ze

skonfiskowanych rosyjskich rezerw walutowych.

Na niwie grillowania polskich polityków diaspora żydowska osiągnęła fantastyczne rezultaty Dowodów i to spektakularnych jest wiele. Kiedy – używając terminologii St. Michalkiewicza – zarówno obóz zdrady i zaprzaństwa, jak i obóz płomiennych patriotów, zaangażował wszystkie zasoby państwa w obronę Zełenskiego, od tyłu zaszli nas Judejczykowie.

No, bo czymże jest wredny tekst żydowskiej gazety dla Polaków zatytułowany: 75 lat *od akcji 'Wisła'. Co stało się z majątkiem przesiedlonych Ukraińców*? Tu małe przypomnienie – środowiska ukraińskie w Polsce konsekwentnie drążą temat prześladowań Ukraińców podczas tej akcji. Z uporem temat jej potępienia stawiają w Sejmie. W jakim celu, skoro akcja była już potępiona przez Senat, a wyrazy ubolewania wyrazili w przeszłości i Kwaśniewski i Kaczyński? Otóż kilka lat temu Światowy Kongres Ukraińców wystąpił do Polski z żądaniem restytucji mienia ukraińskiego. Stąd zabiegi „Gazety Wyborczej" należy uznać za perfidną grę, otwierającą furtkę ku roszczeniom wobec Państwa Polskiego. I jeszcze jedno – z roszczeniami występują, bo zobaczyli, jak bezsilni jesteśmy wobec roszczeń żydowskich.

Czy transfery finansowe za wschodnią granicę, i czy polityka historyczna polegająca na puszczaniu w niepamięć holokaustu Polaków na Kresach mają ze sobą coś wspólnego?Czy rządząca ekipa konspiruje przed własnym narodem? Odpowiedź brzmi: tak. **Decyzja o** udobruchaniu potomków rezunów **i wypłaceniu im rekompensat zapadła**. Polska zwróci im lasy w Bieszczadach, a oni, w zamian, gdy Żydzi będą odbierać majątki, popilnują Polaków, jak ci strażnicy obozowi w Sobiborze i Auschwitz. Sprawę można drążyć innym pytaniem: Czy w całej miłości PiS do Ukrainy nie chodzi o żydowskich oligarchów, którzy obrabowali i rozkradli Ukrainę, doprowadzając do obecnej sytuacji? Czy „ukrainizacja"Polski nie jest dziełem środowisk lobbujących na rzecz żydowskich oligarchów na Ukrainie, gdzie interesy robią wszyscy, a Polska… daje bezzwrotne kredyty, i to nie

Ukraińcom, lecz żydowskim oligarchom, i aby ratować Zełenskiego z opresji, oddaje do jego dyspozycji wszystkie swe zasoby, dzieli się PKB, montuje UkraPolin.

I jeszcze jedno: Czy to przypadek, że wszyscy lobbujący na rzecz Ukrainy w Polsce, USA i Izraelu pochodzą z jednej i tej samej nacji, wszyscy mają korzenie na polskich niegdyś Kresach, a ich miłość do Ukraińców bierze się z nienawiści do Polaków?

Co zarzucający Polsce domaganie się odszkodowań za Żydów zabitych przez Polaków paszkwil „Times of Israel" ma na celu? Czy nie chodzi o montowanie wspólnego żydowsko-niemieckiego frontu wobec Polski? Czy nie chodzi o ofertę pomocy dla Niemców w uzyskaniu odszkodowań za mienie pozostawione na Ziemiach Odzyskanych i podzielenia się zdobytym łupem? A może to Żydzi podpuścili Kaczyńskiego, aby właśnie teraz, bez wystarczającego przemyślenia, bez przygotowania odpowiednich narzędzi, przy wyjątkowo niesprzyjającej koniunkturze, wystąpił o reparacje i odszkodowania? A może kryje się za tym Waszyngton, i jest to większy plan mający na celu wypłatę przez Polskę realnych odszkodowań za przedwojenne majątki żydowskie, również te, które nazywa bezdziedzicznymi?

Sytuacja geopolityczna Polski jest niezwykle trudna i zagmatwana. Polska znalazła się na krawędzi katastrofy gospodarczej. Wszystkie jej zasoby ekonomiczne, wojskowe, dyplomatyczne i polityczne zostały przejęte przez sojusznika zza Oceanu i oddane do dyspozycji sojusznika zza wschodniej miedzy. Polska jest w ostrym konflikcie z KE, który przegrywa. Podejście Bidena do ekipy rządzącej dwuznaczne, a sielanka w stosunkach, za popieranie Ukrainy w wojnie z Rosją, kończy się w formule „Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść". W Izraelu przy władzy znalazł się najbardziej antypolski premier, a „nasz" premier otrzymuje instrukcje z wielu kierunków – ostatnie słowo należy do Żydów, ale od niedawna także do Ukraińców, sodomitów i Klausa Schwaba.

Polityka konfliktowania się z sąsiadami jest coraz bardziej niebezpieczna, a pozostawiając Węgry sam na sam z Komisją Europejską Polska traci ostatniego sojusznika. Polska jest na przegranej pozycji, bo w takiej geopolitycznej układance Berlin łatwo rozbije zamysł z uzyskaniem reparacji, a okazją ku temu będą najbliższe wybory, które wygrają folksdojcze.

Można też postawić pytanie: czy występując w mediach właśnie teraz z żądaniami odszkodowań wojennych, PiS nie popełnia błędu wobec sąsiada, od którego Polska jest zależna w wielu kwestiach, którego życzliwe podejście jest Polsce niezbędne? To także błąd dlatego, że w kwestii roszczeń żydowskich sojusznikiem mogłyby być Niemcy. Przypomnijmy – gdy 27 stycznia 2018 roku Izrael zaatakował Polskę przy nowelizacji ustawy o IPN, Angela Merkel oświadczyła: „Niemcy ponoszą wyłączną odpowiedzialność za Holokaust" (a Rosja poparła nowelizację ustawy w części tyczącej negowania zbrodni nacjonalizmu ukraińskiego). To był jasny sygnał ze strony Berlina, że jest gotowy poprzeć Polskę w konflikcie z Żydami. Wyciągniętej ręki Warszawa nie podjęła. Po raz kolejny okazało się, że dobre stosunki z sąsiadami nie są polską racją stanu, że Kaczyński woli ponad wszystko egzotyczny sojusz z Izraelem i lobby żydowskim w USA. Dodajmy przy tym, że rząd woli inny egzotyczny sojusz – z post banderowską Ukrainą, od której nic nie zależy, a którą śmie jedynie potulnie prosić o zdjęcie dykty z rzeźb na polskim cmentarzu. Dodajmy też, że najlepsza atmosfera do wystąpienia z żądaniami reparacji była w 1989 roku, ale Mazowiecki wolał ściskać się z Kohlem, a Kaczyński zakładać Porozumienie Centrum za pieniądze Fundacji Adenauera.

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Korzyści przynosi postawienie problemu przed światową opinią publiczną i uświadomienie, że Polska była państwem, które w wyniku wojny poniosło największe straty. Inny plus – czym więcej mówimy o odszkodowaniach od Niemiec za zbrodnie niemieckie na Polakach, tym mnie Niemcy i Żydzi mówią o „polskich obozach".

Przypomnieniem, że prawdziwe odszkodowania dostali tylko Żydzi i to kosztem Polski, raport utrudnia także kolaborację niemiecko-żydowską w wymuszaniu odszkodowań od Polaków.

Jeszcze inny plus – raport sporządził swoistą listę folksdojczów: Bo wymusił na wynarodowionej hołocie zabranie głosu. Bo pokazał, kto jest kim w Polsce, kto Polakiem, kto Niemcem (kto Żydem), kto jest za Polską suwerenną, a kto za Generalną Gubernią (i przypomniał, że na folksdojczów głosuje 30 procent Polaków). Unaocznił też, która partia nie oddała ani jednego głosu za Polską i kto gardłował, że reparacje to hańba, głupota, dyrdymały i że najlepsze reparacje to KPO. Powiedzenie „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło" okazało się trafne i na czasie jeszcze z innego powodu – uświadomiło, że dla Kaczyńskiego liczy się na pierwszym miejscu interes żydowski i odszkodowania dla Żydów a nie dla Polaków. Raport zmusił też do zadania pytania: Gdzie tu Polska?

Czy zapraszając Izrael do geszeftu, naszła go refleksja o Ustawie 447? Czy przeczytał paszkwil „Times of Israel"? Zapłacą Polacy, nie Niemcy. I to nie dlatego, że władzę przejmie ferajna Tusk, ale dlatego, że Żydzi, podbechtani nieszczęsną ofertą Kaczyńskiego, dogadają się z Niemcami. Dlaczego nastąpi to teraz? Dlatego, że III RP zdominowało środowisko piewcy „ziemi Polin". Dlatego, że wcześniej nie było czym Polski straszyć: Bo nie było żołnierzy amerykańskich w Polsce, bo nie było „śmiertelnego" zagrożenia rosyjskiego, bo nie kupowaliśmy amerykańskiego gazu (który uniezależnia nas od „splamionego krwią" gazu ruskiego), bo nie było straszaka – „wycofamy wojska i nie sprzedamy czołgów Abrams". No i nie było przygwożdżającego argumentu: Tragedią byłoby, gdyby znakomite relacje USA-Polska stały się zakładnikiem nierozwiązanej kwestii odszkodowań dla Żydów.

Krótko mówiąc – w im większym kryzysie pogrąża się Polska, tym jest podatniejsza na naciski, i im więcej Polska broni żydowskich interesów na Ukrainie, tym więcej Żydom zapłaci. No

i czy może być bardziej dogodny moment od tego, gdy skutecznie wmówili Polakom beznadziejne położenie oraz uwikłali Polskę w katastrofalną sytuację, którą tylko ONI są w stanie rozwikłać?

Krzysztof Baliński

Mądrość zwana sprytem



W niezapomnianym skeczu kabaretu „*Dudek*” z Janem Kobuszewskim i Wiesławem Gołasem pt. „*Ucz się Jasiu*” jest scena, kiedy Jan Kobuszewski, jako właściciel warsztatu hydraulicznego, pyta ucznia Jasia, którego gra Wiesław Gołas, „*do czego jest ta rura?*” – na co Jasio przygląda się przez chwilę rurze i powiada: „*ta rura jest do niczego*”. Kto by wtedy pomyślał, że była to scena prorocza, zapowiadająca zgryzoty, jakie będą udziałem Polski w związku z dostawami gazu przez Baltic Pipe, a właściwie w związku z brakiem tych dostaw. Polska uczestniczyła w budowie tego gazociągu, która kosztowała 2,2 mld euro i – jak wielokrotnie byliśmy zapewniani – miał on być gwarantem naszego bezpieczeństwa energetycznego, umożliwiając rezygnację z dostaw gazu rosyjskiego. Wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku, chociaż na przełomie wiosny i lata premier Morawiecki wystąpił z zagadkową pretensją, by rząd norweski podzielił się z Polską zyskami ze sprzedaży gazu, a nawet wezwał mieszkających w Norwegii Polaków, by w tej sprawie zaczęli rząd norweski molestować. Pan premier Morawiecki już wcześniej wpadał na różne pomysły, ale –

przynajmniej na pierwszy rzut oka – mieściły się one w ramach normalności w sensie medycznym, – bo jeśli chodzi o sens ekonomiczny, to już nie. Na przykład program dekarbonizacji Polski wydawał się dziwaczny, bo niby dlaczego państwo miałoby rezygnować z korzystania z nośników energii, którymi dysponuje na rzecz nośników, którymi nie dysponuje, a w każdym razie – nie dysponuje nimi w stopniu wystarczającym do zaspokojenia potrzeb krajowych, wynoszących około 20 mld metrów sześciennych gazu rocznie? Koniecznością „*ratowania planety*" wyjaśnić tego nie można, bo – po pierwsze – to uzasadnienie nie wytrzymuje krytyki w sytuacji, gdy znacznie większe gospodarki, niż polska, jak np. gospodarka amerykańska, czy chińska, wcale z węgla nie rezygnują, a – po drugie – zależność dobrostanu „*planety*" od spalania paliw kopalnych jest oczywista przede wszystkim dla niestabilnej emocjonalnie szwedzkiej panienki Grety Thunberg, z której sprytni rodzice podobno wyciągnęli już mnóstwo szmalu – no i oczywiście – dla rzesz jej młodocianych wyznawców, którzy o „*planecie*" wiedzą wszystko, chociaż nie bardzo potrafią wyjaśnić – o czym kilkakrotnie się przekonałem – dlaczego właściwie zmieniają się pory roku. Z drugiej strony jednak wiadomo, że od polityków, zwłaszcza takich, jak pan premier Morawiecki, zbyt wiele wymagać nie można, bo dla doraźnych korzyści partyjnych czy nawet osobistych, gotowi są na rozmaite głupstwa, a poza tym rząd „*dobrej zmiany*" swojemu postępowaniu nadawał pozory racjonalnego uzasadnienia, właśnie reklamując korzyści, jakie będziemy odnosili, kiedy tylko gazociąg Baltic Pipe zostanie ukończony. Tymczasem gazociąg został ukończony już jakiś czas temu, ale gaz do Polski jak dotąd nim nie płynie i okazuje się, że nie bardzo wiadomo, czy popłynie, przynajmniej w ciągu najbliższych dwóch lat. Słowem – na razie „*ta rura jest do niczego*" – jakby powiedział Jasio, grany przez Wiesława Gołasa.

„*Ta rura jest do niczego*" przynajmniej na razie, ale nie dlatego, by nie nadawała się do tłoczenia gazu. Ona się nadaje, ale – jak głoszą fałszywe pogłoski – Polska na razie z

tego gazu nie będzie mogła skorzystać z powodu jakichś niejasności w umowie z Norwegami i Duńczykami. Wygląda na to, że pan premier Morawiecki o tych niejasnościach i wynikających z nich konsekwencjach, został poinformowany kilka miesięcy temu, właśnie kiedy zaczął kierować pod adresem norweskiego rządu i pracujących w Norwegii Polaków żądania wykraczające poza normalność w sensie medycznym.

Zwróćmy jednak uwagę, że w innych sprawach, na przykład dotyczących osobistego majątku, pan premier Morawiecki sprawia wrażenie człowieka całkiem sprawnego umysłowo, a nawet obdarzonego specyficznym rodzajem mądrości, który nazywamy sprytem. Skąd zatem u niego takie objawy zaćmienia w sprawach publicznych? Warto, by zajęło się tym jakieś konsylium weterynarzy, ale chyba do tego nie dojdzie, więc spróbujmy wyjaśnić ten fenomen na własną rękę. Zacznijmy od tego, że polityczna kariera pana Mateusza Morawieckiego zaczęła się od stanowiska doradcy doskonałego premiera Donalda Tuska, który już wtedy stał na czele Volksdeutsche Partei i w którym Nasza Złota Pani z Berlina szczególnie sobie upodobała. Jak wiadomo, Donald Tusk Naszej Złotej Pani pozostał wierny aż do chwili obecnej, co z jednej strony nawet dobrze o nim świadczy, że nie jest niewdzięcznikiem – podczas gdy pan Mateusz Morawiecki dokonał politycznej wolty, przechodząc z obozu zdrady i zaprzaństwa do obozu płomiennych dzierżawców monopolu na patriotyzm, za co został wynagrodzony stanowiskiem wicepremiera w rządzie Beaty Szydło. Takie transfery zdarzały się i wcześniej, na przykład Wielce Czcigodny poseł Antoni Mężydło przeszedł w PiS do Volksdeutsche Partei i – jak publicznie zapewniał – wcale nie musiał z tego powodu zmieniać poglądów. Jak było w przypadku pana Mateusza Morawieckiego – tego nie wiem, bo w duszy u niego nie byłem, natomiast pragnę zwrócić uwagę na kolejny ważny etap w karierze wicepremiera Morawieckiego. Oto w następstwie „*głębokiej rekonstrukcji*" rządu „*dobrej zmiany*", w ramach której Naczelnik Państwa spuścił z wodą ministra obrony Antoniego Macierewicza, a panią premier Szydło odesłał na emeryturę do Parlamentu

Europejskiego, pan wicepremier Morawiecki został premierem z zadaniem – jak pamiętamy – „*ocieplenia stosunków z Unią Europejską*”. Warto dodać, że ta „*głęboka rekonstrukcja*” nastąpiła w kilka miesięcy po felonii, jakiej względem swego wynalazcy dopuścił się pan prezydent Andrzej Duda, który po 45-minutowej rozmowie telefonicznej z Naszą Złotą Panią, zapowiedział zawetowanie ustaw regulujących funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości w naszym bantustanie, z czym mamy do dzisiaj coraz większe zgryzoty. Czy nominacja pana Mateusza Morawieckiego na premiera rządu „*dobrej zmiany*”, nie była przypadkiem efektem kompromisu do, którego Naczelnik Państwa, wskutek osłabienia felonią pana prezydenta Dudy został zmuszony? Tego oczywiście nie wiemy, ale przecież musiała być jakaś ważna przyczyna, dla której wicepremierem, a następnie premierem rządu „*dobrej zmiany*”, został były doradca doskonały premiera Tuska, w którym Nasza Złota Pani szczególnie sobie upodobała i mocną ręką przeniosła, a następnie prowadziła przez europejskie salony? W międzyczasie wszczęła i prowadzi przeciwko Polsce wojnę hybrydową przy pomocy Donalda Tuska, ale z drugiej strony, przy pomocy premiera Mateusza Morawieckiego, doprowadza do obezwładnienia energetycznego Polski, już to pod pretekstem jej „*dekarbonizacji*”, już to wskutek „*niejasności*” w umowie gazowej z Norwegami i Duńczykami, by w rezultacie doprowadzić do tego, by Polska, podobnie jak inne państwa, kupowały od Niemiec rosyjski gaz tłoczony rurociągiem NordStream 2, który – jak tylko uda się tej zimy zorganizować kryzys energetyczny w Europie – chyba będzie musiał zostać uruchomiony?

Stanisław Michalkiewicz

Krótka smycz polskojęzycznych dziennikarzy



Pamiętają Państwo białoruskiego dziennikarza-opozycjonistę Ramana Pratasiewicza? Ileż to było lamentowania w mediach, po tym jak został aresztowany podczas „międzylądowania” w Mińsku. Jednak chwilę później dziennikarze w Polsce nagle morda w kubeł. Dlaczego? Były redaktor naczelny kanału Nexta na Telegramie szybko zaczął sypać, że polskojęzyczne władze łożyły mnóstwo forsy [wydartej z kieszeni polskiego podatnika], na dywersyjną działalność w sąsiednim państwie Białoruś.

Tymczasem Pratasiewicz ostatecznie nieźle się ustawił po stronie białoruskiej. Najpierw zmienił poglądy. Nie jestem pewna czy szczerze, gdyż takie typy raczej poglądów nie mają. Obecnie wygląda to mniej więcej tak, że z jego perspektywy Białoruś nie jest już be, a Zachód przestał być cacy. W międzyczasie rzucił dziewczynę Sofię Sapiegę, obywatelkę Rosji, która wraz z nim została zgarnięta z lotniska. I wreszcie ożenił się w obywatelką Białorusi.

Niewykluczone, że władze Białorusi uratowały życie Pratasiewiczowi. Znając bowiem jego przeszłość, z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że gdyby nie tamto zatrzymanie na mińskim lotnisku, dalej wykonywałby on polecenia „polskich panów” i wzorem innych dywersantów z Białorusi zostałby znów najemnikiem. Być może Polacy wysłaliby go na Ukrainę, gdzie musiałby walczyć w interesie globalistów i korzennych oligarchów. I pewnie zginąłby tam w szeregach

jakiegoś „Azowa” czy innego „Ajdaru”, w najlepszym wypadku trafiłby do rosyjskiej niewoli.

A jak się sprawy mają po drugiej stronie „żelaznej kurtyny”? Właśnie dopadli Juliana Assange’a. Ten australijski aktywista, sygnalista, dziennikarz i programista jest symbolem walki o wolność słowa w Internecie. Założyciel, rzecznik i redaktor naczelny demaskatorskiego portalu WikiLeaks, ujawnił między innymi największe przekręty globalistów i zbrodnie wojenne Stanów Zjednoczonych. Jego przykład dobitnie pokazuje, że demokracja i wolność słowa na Zachodzie nie istnieją.

Kilka dni temu brytyjski rząd zgodził się na ekstradycję Assange’a do Stanów Zjednoczonych, gdzie czeka go proces. Prokuratorzy w USA postawili 50-latkowi 17 zarzutów, za które łącznie grozi mu do 175 lat więzienia. W ostatnich latach trwało wielkie polowanie na Australijczyka, który musiał się ukrywać. W międzyczasie pojawiły się fałszywe oskarżenia o przestępstwa seksualne. Jego życie zostało zamienione w piekło.

Tymczasem polskojęzyczni dziennikarze jakoś nie okazują solidarności z australijskim dziennikarzem, który jest prześladowany na ujawnienie prawdy. Dlaczego tego nie robią? Ponieważ są przekupionymi obłudnikami.

Agnieszka Piwar

„Tylko w morzu krwi…” – początek zbrodni ukraińskich

nacjonalistów na ludności polskiej Wołynia



W rocznicę zbrodni dokonanej 9 lutego 1943 r. na ludności polskiej w Parośli, prezentujemy tekst dr Joanny Karbarz-Wilińskiej z Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Gdańsku.

Parośla

Kiedy w 1918 r. Polska odzyskała niepodległość, na jej obszarze znalazło się oficjalnie blisko 5 mln Ukraińców. Stanowili oni 14 proc. ludności kraju. Walki o granicę południowo-wschodnią, a więc ziemie, które głównie zamieszkiwali, trwały jednak przez kolejne lata, a Wołyń, gdzie ludność ta przeważała liczebnie nad Polakami, przyłączono do II RP w 1919 r. Obszar ten tworzył drugie co do wielkości województwo, zajmując blisko 35 758 km kw. Według spisu powszechnego z 1931 r. Ukraińcy stanowili tu aż 68 proc. mieszkańców, których łącznie było 1418,3 tys.

Polaków na Wołyniu zamieszkiwało 346,6 tys., czyli 16,6 proc. ogółu ludności tego obszaru, co oznaczało, że stanowili oni drugą co do wielkości żyjącą tam grupę narodowościową. Większe ich skupiska były w miastach, ustępowali tam jednak liczebnością ludności żydowskiej, stanowiąc ledwie 27,7 proc. mieszkańców. Zdecydowana większość Polaków należała do ludności wiejskiej, na Wołyniu niewiele jednak istniało wsi zamieszkiwanych wyłącznie przez nich. Dodatkowo wioski te były

znacznie mniejsze od ukraińskich wsi wołyńskich. Polacy mieszkali również we wsiach ukraińskich, gdzie najczęściej żyło po kilka, kilkanaście lub, rzadziej, kilkadziesiąt rodzin. Niezależnie jednak od tego, czy zamieszkiwali oni wioski wyłącznie polskie, czy też zdecydowali się osiedlić wśród ukraińskich sąsiadów, to właśnie polscy mieszkańcy Wołynia padli ofiarą zbrodni ludobójstwa z rąk UPA, rozpoczętej na początku lutego 1943 r.

Pierwszy atak na ludność polską zorganizowany przez ukraińskich nacjonalistów miał miejsce w Parośli. Była to wioska założona w XIX w., położona w gminie Antonówka w powiecie sarneńskim, w „trójkącie między traktem Włodzimierzec (gm. Włodzimierzec) – Antonówka (gm. Antonówka), drogą Wydymer – Grabina (obie w gm. Antonówka) i linią kolejową Kowel – Sarny”. Należała do parafii Włodzimierzec, diecezji w Łucku. Wieś była zamożna i zamieszkiwało ją około 130 Polaków w 26 zagrodach. W lutym 1943 r. zostali oni całkowicie wymordowani przez banderowską partyzantkę.

Zbrodnię w Parośli poprzedził atak UPA na miasteczko Włodzimierzec, którego dokonał oddział zorganizowany prawdopodobnie przez urodzonego w 1912 r. Hryhorija Perehiniaka „Dowbesza-Korobkę”. Celem Ukraińców stało się odbicie z rąk niemieckich starego działacza OUN – „Dibrowego”. Akcja rozpoczęła się w nocy z 7 na 8 lutego (lub, jak podaje Grzegorz Motyka, z 8 na 9 lutego) 1943 r. Ukraińcy natrafili w jej trakcie na stacjonujący w miasteczku pododdział policji pomocniczej złożony z Kozaków i opanowali zajmowany przez nich budynek, mordując wielu z nich. Po zakończeniu działań pierwsza sotnia UPA wycofała się z Włodzimierca, kierując się do kolonii Parośla zamieszkiwanej wyłącznie przez Polaków.

Do wioski sotnia „Dowbeszki-Korobki” przybyła prawdopodobnie 9 lutego nad ranem. Uzbrojeni Ukraińcy otoczyli kolonię. Najpierw w pobliskim lesie zamordowali pięciu mieszkańców kolonii Wydymer, którzy zwozili drewno, a później sterroryzowali mieszkańców Parośli, wkraczając z bronią do

domów, grupami (najczęściej po 4–6 osób). Witold Kołodyński, wówczas jedenastoletni chłopiec, wspominał ten moment: „W dniu 9 lutego 1943 r. (wtorek) wcześnie rano, zbudzono nas głośnym i natarczywym łomotaniem w drzwi. Wyrwany ze snu ojciec podszedł do okna i po powrocie do sypialni powiedział do mamy, że stoi tam duża grupa uzbrojonych mężczyzn. Wtedy zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi. Ojciec poszedł otworzyć drzwi, do których strasznie łomotano. Ja z siostrą Teresą – Lilą (tak na nią mówiliśmy) weszliśmy na piec chlebowy w kuchni, z którego widok był wprost na drzwi wejściowe. W tym też czasie dziadek z babcią przyszli z dużego pokoju do kuchni. Do kuchni jako pierwszy wszedł wysoki, dobrze zbudowany, przystojny mężczyzna w wieku około 30 lat. […] Liczyłem wchodzących przez kuchnię do dużego pokoju, było ich szesnastu”.

Do domu państwa Kołodyńskich przyprowadzono również Kozaków, wziętych do niewoli w miasteczku Włodzimierzec, których zaprowadzono do sypialni i wyznaczono warty do ich pilnowania. Intruzi przedstawili się jako partyzanci sowieccy, którzy zakończyli potyczkę z Niemcami. Wielu mieszkańcom Parośli wydało się podejrzane, że bojówkarze rozmawiają ze sobą miejscową gwarą ukraińską, co zaprzeczało ich tożsamości. Zdradzało ich również ubranie, charakterystyczne dla miejscowych Ukraińców. Poza tym ich uzbrojenie składało się z prymitywnej broni, jak siekiery i topory. Najpierw rozkazali naszykować dla siebie jedzenie i zakazali mieszkańcom przemieszczać się bez wartownika. W domu państwa Kołodyńskich pierwszymi ofiarami stali się kozaccy jeńcy, których zabito siekierami, prawdopodobnie, jeszcze zanim oprawcy zasiedli do posiłku. Witold Kołodyński tak zapamiętał te wydarzenia: „W godzinach popołudniowych […] jeden z banderowców zapytał mamę »Gdzie jest siekiera?«. Mama wskazała siekierę w sieni. Ukrainiec pochwycił ją i poszedł do dużego pokoju. W tym czasie dowódca wzmocnił warty w kuchni i w pokoju jadalnym, sam poszedł do sypialni, do Kozaków. Po chwili wyprowadzili jednego Kozaka, kierując go do pokoju dużego. Słychać było odgłosy rąbania siekierą i nieludzkie jęki. Po kilku minutach

szedł następny Kozak, a my słyszeliśmy podobne do poprzednich jęki i odgłosy”. Wcześniej dotkliwie pobito gospodarza domu, jego ojca.

Po posiłku banderowcy poinformowali Polaków o planowanym ataku na mających przejeżdżać w okolicy Niemców i zażądali, by położyli się oni na podłodze i pozwolili skrępować sobie ręce. Umotywowano to chęcią „ochrony” mieszkańców Parośli przed zemstą Niemców za współudział w ataku. Niektórym Polakom takie tłumaczenie mogło się wydać wiarygodne, natomiast ci, którzy nie ufali „przebierańcom”, i tak nie byli w stanie stawić im oporu. Wtedy, jak wspominał Witold Kołodyński, „nastąpiło bestialskie mordowanie, rąbanie naszych głów siekierami. Oprawców było wielu, gdyż mordowano nas prawie jednocześnie. Mordercy przebywali w naszym domu w dalszym ciągu, ucztując”.

Podczas masakry nie oszczędzono nawet dzieci. „Widziałem osobiście – wspominał Władysław Chorążyczewski – na stole wśród samogonu i resztek jedzenia dziecko dwunasto- czy czternastomiesięczne przybite bagnetem […] w którego usta był włożony niedojedzony kawałek kiszonego ogórka. Tego widoku nie zapomnę do końca życia”. Dzieci zabijano uderzeniem obucha siekiery w główkę. Jak podają Ewa i Władysław Siemaszkowie, „w jednym z domów nie można było wyciągnąć noża, którym było przybite niemowlę do stołu”. W kołysce, uderzeniem w siekiery w głowę, zamordowana została także półtoraroczna siostra Witolda Kołodyńskiego, a on sam wraz z młodszą od siebie dziewięcioletnią siostrą tylko cudem przeżył masakrę. Oboje przerazili się widokiem, który zastali w domu. Byli przekonani, że zbrodni dokonano tylko w ich domu, szybko się jednak okazało, że Ukraińcy wymordowali niemal całą wioskę. Napad przeżyło zaledwie 12 osób, przede wszystkim ciężko poranione dzieci. Szacuje się, że zginęło wówczas co najmniej 155 osób, ofiar z pewnością było jednak więcej. Jak podaje Grzegorz Motyka, „po wymarszu z Parośli w drodze do Cepcewicz upowcy w futorze Topty (Tuptyn) zabili następnych piętnastu Polaków”.

Kiedy upowcy wyszli z Parośli, dotarł tam Aleksander Sulikowski, który po drodze na targ do Sarn postanowił odwiedzić rodzinę. O zbrodni poinformował pobliski niemiecki posterunek. Mieszkańcy sąsiednich kolonii dowiedzieli się o niej na drugi dzień rano, kiedy jeden z gospodarzy z Wydymeru pojechał do wsi na umówione spotkanie. W podobnym czasie do Wydymeru z informacjami o zbrodni dotarła okaleczona Maria Bułgajewska.

W obawie przed powrotem upowców mieszkańcy okolicznych wiosek, którzy przybyli do Parośli, zdecydowali pochować zamordowanych kilka dni później. Pogrzeb ofiar odbył się 12 lutego 1943 r. We wspólnej mogile pochowano 137 osób, ciała pozostałych ofiar krewni złożyli na cmentarzu poza Paroślą. W maju 1943 r. na grobie usypano niewielki kurhan i postawiono krzyż z wypalonym napisem: „Tutaj spoczywają mieszkańcy Kolonii Parośla zamordowani w dniu 9 lutego 1943 r.”

Aż do 30 lipca 1943 r. opustoszała kolonia pozostała nietknięta. Tego dnia została jednak doszczętnie spalona przez Ukraińców w trakcie likwidacji wszystkich polskich osiedli w gminie Antonówka (łącznie 26 zagród). Na terenie, gdzie rozciągała się wieś, posadzono las sosnowy, w którym do lat siedemdziesiątych zachował się krzyż ku pamięci ofiar rzezi. Kiedy się rozpadł, jeden z okolicznych ukraińskich mieszkańców z własnej inicjatywy wzniósł nowy, w 1995 r. dodając mały obelisk. Mogiła została też zabezpieczona ogrodzeniem przed leśnymi zwierzętami.

Parośla była pierwszą polską wioską, w której UPA dokonała masowego mordu na cywilnej ludności. Brutalna zbrodnia stanowiła jedynie preludium do kolejnych, których celem byli przede wszystkim Polacy, bez względu na wiek czy płeć. Ich kulminacja nastąpiła 11 i 12 lipca 1943 r., kiedy to równocześnie w 150 miejscowościach (w powiatach włodzimierskim, horochowskim i kowelskim) w bestialski sposób UPA wraz z częścią wiejskiej ludności ukraińskiej mordowała Polaków, którzy ginęli na Wołyniu jeszcze przez kolejne dwa

lata (do lutego 1945 r.), a także swoich rodaków, usiłujących ratować polskich sąsiadów.

W połowie września 1943 r. masowe rzezie niewinnej ludności polskiej rozpoczęły się na terenie województw tarnopolskiego, lwowskiego i stanisławowskiego, a więc Małopolski Wschodniej, gdzie miały równie bestialski przebieg. Szacuje się, że zginęło tu kolejnych kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Za zbrodnie te odpowiedzialni są oczywiście konkretni ludzie – członkowie OUN, ukraińskiej „armii powstańczej" (UPA), ale także wielu ukraińskich mieszkańców wołyńskich wsi, których nierzadko nie trzeba było zachęcać do zemsty na wiejskiej ludności polskiej za wyrządzone przez nią rzekomo krzywdy.

Często, szczególnie po stronie ukraińskiej, opisuje się te tragedie jako „wojnę polsko-ukraińską", nie biorąc pod uwagę faktu, że same walki wrogich oddziałów stanowiły niewielki odsetek tych wydarzeń, natomiast pozostała część tzw. wojny polegała na bestialskim mordowaniu bezbronnych ludzi przez ukraińskich nacjonalistów. Badacze, głównie ukraińscy, podejmują też próby „tłumaczenia", że rzeź wołyńska wzięła swój początek z wieloletniego, czy też nawet kilkuwiekowego, konfliktu pomiędzy Polakami i Ukraińcami. Polacy odgrywają w tej narracji rolę agresorów i „okupantów" ziem ukraińskich, którzy zginęli, bo emocje „ukraińskich ofiar" znalazły „wreszcie" ujście podczas wydarzeń w 1943 r. Oczywiście nie można uznać, iż władzom II RP udało się rozwiązać liczne problemy zamieszkujących kraj mniejszości, a Ukraińcy byli traktowani tak samo jak Polacy. Trudno jednak wytłumaczyć okrutne mordy na bezbronnej ludności cywilnej, wskazując na zadawnione krzywdy czy poczucie, iż jest się obywatelem „drugiej kategorii". Nie da się ich również wytłumaczyć walką o niepodległość. Bestialska eksterminacja ludności ze względu na narodowość czy wyznanie zawsze jest podbudowana ideologią. W tym przypadku była to ideologia ukraińskich nacjonalistów, których działalność skłoniła Ukraińców do ludobójstwa na Polakach.

Rozwój ukraińskiego nacjonalizmu

Ukraińskie organizacje nacjonalistyczne w Galicji Wschodniej oraz na Wołyniu zaczęły powstawać już wcześniej. W 1920 r. Jewhen Konowalec utworzył terrorystyczną Ukraińską Organizację Wojskową (UWO), która istniała do 1933 r. Prowadziła ona akcje sabotażowe, zamachy terrorystyczne i szkolenia wojskowe dla młodzieży, obierając za cel oderwanie od Polski województw lwowskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego i utworzenia z nich ukraińskiego państwa. Początkowo jednak ukraińscy nacjonaliści nie stanowili zwartego środowiska. W 1926 r. we Lwowie kilku spośród nich powołało Związek Ukraińskiej Młodzieży Nacjonalistycznej (Sojuz Ukrajińskoji Nacionalnoji Mołodi, SUNM). Wśród jego założycieli znaleźli się Stepan Ochrymowycz, Iwan Gabrusewycz oraz Stepan Łenkawśkyj.

W 1929 r. Łenkawśkyj ogłosił „Dekalog ukraińskiego nacjonalisty", formułując w nim główne zasady, według których powinni postępować Ukraińcy, aby utworzyć swoje państwo. „Dekalog" był niejako uproszczonym zapisem tez zawartych w utworach Dmytry Doncowa. Nawoływał on przede wszystkim do tego, aby kierowniczą rolę w narodzie przejęła „aktywna, odważna, spragniona władzy mniejszość", która charakteryzowałaby się zdolną do poświęceń, fanatyczną wręcz miłością do własnego narodu. Dekalog, w którym pisano m.in.: 1. „Zdobędziesz Ukraińskie Państwo albo zginiesz za nie", 7. „Nie zawahasz się wykonać najniebezpieczniejszego czynu, jeśli będzie wymagać tego dobro sprawy" czy 8. „Nienawiścią i bezwzględną walką będziesz przyjmował wroga Twego Narodu", definiował w całości bezwzględną, pozbawioną skrupułów i moralności przyszłą drogę, jaką zamierzali obrać ukraińscy nacjonaliści w walce o własne państwo.

Do zjednoczenia środowisk nacjonalistycznych doszło podczas I Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów, który odbywał się w Wiedniu od 28 stycznia do 3 lutego 1929 r. Powołano wówczas Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), a „Dekalog"

Łenkawśkiego stał się jednym z jej najważniejszych dokumentów. Co ciekawe, główny ideolog ukraińskich nacjonalistów – Doncow – nigdy nie został członkiem organizacji. Tymczasem jej członkowie przyjęli za cel dążenie do „budowy, obrony i powiększenia niezależnego, zjednoczonego ukraińskiego państwa narodowego", które miało objąć wszystkie „ukraińskie ziemie etnograficzne". Oznaczało to, że ich przyszłe państwo powinno się składać nawet z tych terenów, które – według nacjonalistów – Ukraińcy zasiedlali we wczesnym średniowieczu. OUN zapowiadała bezwzględną walkę z każdym, kto stanie na drodze do „odzyskania" owych ziem. Poważnie traktowano przy tym nauki Doncowa, który podkreślał, że jakakolwiek współpraca z innymi organizacjami jest niedopuszczalna, ponieważ w organizacji nacjonalistycznej powinny panować czystość ideologiczna oraz spójna moralność. Ponadto, ukraińskim nacjonalistom nie chodziło o porozumienie z innymi narodami, które według OUN zajmowały ich ziemie. Nie wchodziły również w grę żadne kompromisy i szukanie rozwiązań na drodze pokojowej. Za bardzo niebezpiecznych uważano tych działaczy polskich i ukraińskich, którzy dążyli do zgody polsko-ukraińskiej. To przeciwko nim członkowie UWO i OUN prowadzili początkowo akcje terrorystyczne oraz zamachy. Ich celem było nieustanne przygotowywanie Ukraińców do narodowej rewolucji, o czym przekonywali swoich rodaków poprzez propagandę oraz dokonywanie aktów sabotażu i terroru.

Plany „walki o wolną Ukrainę" prezentowano m.in. w czasopiśmie OUN „Rozbudowa naciji". W numerze z listopada/grudnia 1930 r. pisano: „Kiedy nadejdzie ten nowy, wielki dzień, będziemy bez litości. Nie będzie żadnego zawieszenia broni, nie powtórzy się ani perejasławska, ani hadziacka umowa […]. Nie będzie miłosierdzia ani dla wielkiego, ani dla małego, a poeta zaśpiewa: I zarżnął ojciec syna. […] Tylko w morzu krwi, tylko bezwzględnością, tylko w jednym żelaznym szeregu i z jednym wodzem wywalczymy sobie prawa człowieka". Wizje głównych działaczy OUN dotyczące jej działań zaczęły się jednak w pewnym momencie różnić. Na przełomie lat 1940 i 1941 doszło do

konfliktu między Stepanem Banderą i Andrijem Melnykiem, w wyniku czego nastąpił rozłam w jej szeregach. Utworzono wówczas dwie organizacje – OUN-B i OUN-M. Pierwsza z nich ponosi największą odpowiedzialność za przyszłe zbrodnie.

Działania OUN-B usprawnić miała formacja zbrojna, która byłaby w stanie fizycznie usunąć rzekomych „okupantów", w tym przypadku przede wszystkim Polaków – z „ukraińskich" ziem, dzięki czemu Ukraina miała być „czysta jak szklanka wody". Pomysł jej utworzenia pojawił się po klęsce Niemiec pod Stalingradem, kiedy ich przegrana w II wojnie światowej stawała się coraz bardziej oczywista. Ukraińscy nacjonaliści zdawali sobie sprawę z tego, że na okupowane (od 1941 r.) przez Niemców południowo-wschodnie tereny byłej II Rzeczypospolitej – przez ounowców nazywane „ziemiami ukraińskimi" – wkroczy ponownie Armia Czerwona i zaprowadzi swoje porządki. W dniach 17–23 lutego 1943 r. zwołano III Konferencję OUN, na której zdecydowano o powołaniu organizacji militarnej pod nazwą Ukraińska Powstańcza Armia. Co ważne, już od 1941 r. na Wołyniu i Polesiu działał oddział partyzancki, który przyjął taką nazwę. Dowodził nim Taras Bulba-Boroweć, reprezentujący Ukraińską Republikę Ludową na emigracji i walczył z Armią Czerwoną, a od marca 1942 r. – z siłami niemieckimi. Kiedy OUN-B utworzyło własne oddziały, odebrano tę nazwę ludziom pod powództwem Bulby-Borowcia. Część z nich przeszła do nowych „oddziałów", on sam jednak tego nie zrobił, prawdopodobnie nie popierał bowiem planów „oczyszczania" – jak eufemistycznie mówiono – „ziem ukraińskich" z ludności polskiej. Pierwszym dowódcą UPA został Wasyl Iwachiw, a po jego śmierci w maju 1943 r. zastąpił go Dmytro Kłaczkiwśkyj „Kłym Sawur", który został dowódcą okręgu UPA-Północ.

Akcje zaczepne OUN wobec Polaków trwały od momentu jej utworzenia. Z rąk jej działaczy zginęło wiele osób, które starały się doprowadzić do zgody między Polakami i Ukraińcami. Wśród ofiar zamachów byli m.in. w 1931 r. Tadeusz Hołówko, w 1934 r. Bronisław Pieracki po stronie polskiej czy również w

1934 r. Iwan Babij – dyrektor gimnazjum akademickiego we Lwowie, po stronie ukraińskiej. W latach trzydziestych OUN – jak twierdzi Grzegorz Motyka – planowała sprowokować chłopów do krwawych wystąpień przeciwko polskim ziemianom i kolonistom. W ten sposób zamierzano rozprawę z częścią Polaków ukryć pod płaszczem „ludowych" samosądów". „Zapowiedź odwetu czy nawet rozprawy z Polakami można też odnaleźć w wielu piosenkach OUN (np. Śmierć, śmierć, Lachom śmierć)".

Biskup Grzegorz Chomyszyn wobec działań OUN i UPA

Sprzeciw wobec ukraińskiego nacjonalizmu, rozpowszechniającego się na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, stanowczo wyrażał greckokatolicki biskup stanisławowski Grzegorz Chomyszyn. Od momentu, kiedy objął sakrę biskupią w 1904 r., głośno krytykował przemoc i terror, do których posuwały się już wówczas ukraińskie środowiska. Duchowny zdecydowanie potępił w 1908 r. zabójstwo namiestnika galicyjskiego Andrzeja Potockiego, konsekwentnie apelując o pokojowe ułożenie skomplikowanych relacji polsko-ukraińskich.

W latach trzydziestych z uwagą obserwował rosnący w siłę wśród jego rodaków nacjonalizm i konsekwentnie ich przed nim przestrzegał, nazywając go „obłędnym" oraz „pogańskim". Chcąc oderwać Ukraińców od tej ideologii, proponował im alternatywną drogę. W 1925 r. udzielił poparcia utworzonej wówczas Ukraińskiej Organizacji Chrześcijańskiej (UChO), której członkowie propagowali szukanie dróg porozumienia z Polakami, a przede wszystkim postępowanie w zgodzie z zasadami wiary chrześcijańskiej. W 1930 r. organizacja przekształciła się w Ukraińską Katolicką Partię Ludową (UKNP), którą w 1932 r. zastąpiła Ukraińska Odnowa Ludowa (UNO).

Popularność nacjonalizmu wśród Ukraińców przerażała bp. Chomyszyna. Swoje refleksje na ten temat przedstawił w wydanej w 1933 r. książce Problem ukraiński. Jak sam podkreślał, była

ona wynikiem „tego, co przemyślałem, nie w ciągu jednego dnia, miesiąca lub roku, ale przez dziesiątki”. W publikacji opisał prawdopodobne skutki rozprzestrzeniania się ideologii nacjonalistycznej. Szczególny niepokój biskupa budził wzrost zainteresowania nią wśród młodzieży. Twierdził wręcz, że „dała się [ona] wplątać w bardzo zgubne sieci, leci sama na oślep w przepaść i na naród swój sprowadza gorzki los”. Pragnąc odwrócić jej uwagę od nacjonalizmu, stał się pomysłodawcą powstania Akcji Katolickiej w województwie stanisławowskim. Niepokój biskupa budziło również to, że także drobnomieszczaństwo oraz chłopi coraz częściej przejawiali poparcie dla tej ideologii.

Duchowny rozumiał jednak procesy, dzięki którym nacjonaliści zdobywali poparcie wśród Ukraińców. Pisał na ten temat do swoich wiernych, jednocześnie przestrzegając, by nie dali się zwieść słowom agitatorów: „Wystarczy bowiem mieć silne gardło i obrotny język, wystarczy masom schlebiać i potakiwać, wystarczy obiecywać im złote góry i raj na ziemi – a oto gotowy patent na wielkiego działacza patriotę, na zbawcę i bohatera narodu, nawet na męczennika narodowego”. Podkreślał, że nacjonalizm jest ideologią wadliwą, zatrutą i szkodliwą, porównując go do tego, „czym materializm [stał się] u bolszewików”. Za współwinnych tego, że przyjął on taką błędną formę, uznał Tarasa Szewczenkę, Mychajłę Drahomanowa oraz Iwana Frankę, nie zdobywając sobie tym samym poparcia wśród rodaków. Uważał, iż nacjonalizm przeciwstawia się „prawdziwej, świętej i szlachetnej miłości swego narodu” i „uważa naród za najwyższego suwerena, detronizuje absolutny autorytet Boga […], niszczy nie tylko miłość Boga, ale bliźnich, bo wprowadza gorączkę szowinizmu i nienawiści w stosunku do tych wszystkich, którzy nie podporządkowują się temu nacjonalizmowi”. Twierdził też, że hierarchia greckokatolicka powinna bardziej stanowczo reagować na działalność ukraińskich nacjonalistów. Przekonywał, że działają oni na szkodę narodu, nie dopuszczając do zawarcia porozumienia między Ukraińcami i Polakami. Dziwiło go szczególnie to, iż nacjonaliści mordują

często tych Polaków, którzy odnosili się do jego rodaków życzliwie. Nie rozumiał jednak, że likwidowanie przez OUN osób, które dążyły do poprawy wzajemnych relacji, było jednym z podstawowych celów organizacji. Jak już wspominano, zamierzali oni zlikwidować wszystkich, którzy stanęli im na drodze do rewolucji i przejęcia wyłącznej władzy, a zwłaszcza tych, którzy byliby w stanie – zarówno po stronie polskiej, jak i ukraińskiej – doprowadzić do zgody między narodami.

Grzegorz Chomyszyn nie bał się wygłaszać niepopularnych wśród Ukraińców tez i otwarcie krytykował działania ukraińskich nacjonalistów. Pragnął zawrócić swoich rodaków z błędnej drogi. Wiedział jednak, że niełatwo będzie mu się do nich przebić. Twierdził przy tym, że „ukrywać zło, usypiać naród zatrutymi narkotykami, podtrzymywać jego malignę – to straszne zabójstwo. Naród, któremu nikt nie odkrywa, albo nikt nie ma odwagi odkryć błędnej jego drogi, lub naród, który nie chce przyjąć zdrowej rady, albo tak dalece jest już schorowany, że nie może przyjąć zdrowej rady i skutecznego lekarstwa – jest narodem nie do uzdrowienia”.

Postawa, jaką przyjął bp Chomyszyn, sprowadziła na niego nienawiść ukraińskich nacjonalistów. Oskarżali go o to, że „rozbija jedność narodową, łamie front narodowy” i podjęli nawet decyzję o jego zlikwidowaniu. Zabójstwo biskupa nie doszło do skutku, niemniej on sam wiedział o planach jego przeprowadzenia, o czym pisał w jednym z listów do metropolity Andrzeja Szeptyckiego, przestrzegając go przed dramatycznymi skutkami takich działań.

Przewidywania bp. Chomyszyna, że „nacjonalizm […] wprowadza pogańską etykę nienawiści, nakazując nienawidzić wszystkich, którzy są innej narodowości, a nawet wzbraniając nieść im pomoc i okazywać miłosierdzie w ich nieszczęściu”, sprawdziły się w latach czterdziestych XX w. na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Jeszcze pod koniec lat trzydziestych, zanim doszło do ludobójstwa ludności polskiej na tych terenach, Grzegorz Chomyszyn udzielił lwowskiemu dziennikowi „Chwila” wywiadu, w

którym zawarł niemal prorocze wizje tych tragedii: „Kto ma w sobie poczucie człowieczeństwa, kto z chrześcijan godny jest tego miana – pojmuje, że zboczenia nacjonalizmu zepchnęły butnych obłąkańców po równi pochyłej ich sadyzmu aż na samo dno. Stoją dziś chyba na pograniczu zwierzęcości. Stoją niżej od pogan, którzy przecie mają jakąś religię, choć fałszywą. Nie jest chrześcijaninem, kto gnębi bliźniego, bo chrześcijaństwo prawdziwe przeciwne jest i potępia gwałt i walkę nieetyczną”.

Biskup stanisławowski był przeciwny zbrodniom OUN i UPA popełnionym na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej w latach 1943–1945, co podkreślał jeszcze wówczas, kiedy w 1945 r. został aresztowany przez NKWD. Śledczym, którzy go przesłuchiwali, mówił, że nie popierał działań UPA i uważał, że nie można budować niezależnej Ukrainy poprzez działania dywersyjne. W zeznaniach z marca tego roku podkreślał zdecydowanie, że zawsze był zwolennikiem legalnych rozwiązań w kwestiach politycznych i krytykował „ostre formy OUN w walce przeciwko Związkowi Sowieckiemu i polskiej ludności”.

Biskup Chomyszyn wprost wyrzucał błędy swoim rodakom. Nie przysparzało mu to wśród nich popularności oraz zwolenników. Nacjonalizm ukraiński i ideały, na jakich się on opierał, opisywał, nie stosując eufemizmów i nie próbując usprawiedliwiać zbrodni „siłami wyższymi”. Choć swoje nauki wygłaszał w sposób stanowczy i zdecydowany, do wielu Ukraińców nie były one w stanie dotrzeć. Być może jednak część z nich zawrócił z błędnej drogi. Warto pamiętać, że nie wszyscy Ukraińcy dali się omamić zbrodniczej ideologii OUN-UPA, sprzeciwiając się morderstwom polskich sąsiadów i ostrzegając ich przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Wielu z nich poniosło za to śmierć z rąk swoich rodaków.

Źródło

Bezdomne kobiety ze schroniska musiały ustąpić miejsca Ukrainkom



Nie dalej jak wczoraj Morawiecki podczas konferencji zorganizowanej w Przemyślu zapewnił wszystkich Polaków o braku dyskryminacji ich prawa w związku z inwazją uchodźców. Podczas konferencji padły zapewnienia o braku różnicowania Polaków i uchodźców w zakresie życia społecznego i gospodarczego. Przedstawiciel władzy zagwarantował również Polakom brak różnicowania ich w prawie do świadczeń medycznych. Podczas wypowiedzi poruszona przez niego została również rzekoma dezinformacja o różnicowaniu przez władzę Polaków na tle uchodźców, którym tzw. „Agenci Putina" zarzucają lepsze traktowanie i dostęp do usług medycznych, stwierdzając, że jest to celowe działanie grup antyszczepionkowych, które teraz scentralizowały siły na walkę przeciwko niesionej pomocy przez państwo poszkodowanym wojną.

Oczywiści grupa zmanipulowanych przez telewizję ludzi urosła w siłę. Czy jednak zapewnienie o równym traktowaniu obywateli i uchodźców jest prawdą?

Niestety jak pokaże nasz kolejny artykuł, jest to kolejna szopka medialna i sianie dezinformacji mającej na celu wprowadzenie obywateli w błąd.

Jak podaje Dziennik Łódzki w schronisku dla bezdomnych prowadzonym przez łódzki MOPS mieszkające tam kobiety zobowiązane zostały do natychmiastowej zwolnienia miejsca swojego zamieszkania**, by zrobić miejsce dla uchodźczyń z Ukrainy. Z informacji podanych przez Dziennik Łódzki wynika, że Miasto zapewniło, iż miejsc noclegowych dla nikogo w kryzysie nie brakuje.**

Powyższa sytuacja jak wynika z informacji podanych przez Dziennik Łódzki, miała miejsce tydzień temu. Z pewnością 62 kobiety ze schroniska dla bezdomnych kobiet przy ul. Gałczyńskiego 7 należącego do MOPS, jakie wykwaterowano, aby zrobić miejsce dla Ukrainek preżyły stresujące chwile, tym bardziej że Polki skarżyły się dziennikarce, że na wyprowadzę z dostały zaledwie kilka godzin. Jak wynika z materiału opublikowanego przez Dziennik Łódzki część pań, przeniesiono do Domu Samotnej Matki oraz do schroniska św. Brata Alberta przy ul. Kwietniowej, kilka znalazło lokum samodzielnie. Jedna z kobiet z dwójką dzieci w wieku szkolnych postanowiła opłacić sobie hostel. Brak możliwości finansowych na dalsze utrzymanie siebie i swoich dzieci w hostelu spowodowała konieczność podjęcia decyzji o powrocie do schroniska. Jednak z powodu braku miejsc nie mogła już w nim zamieszkać, a Dom Samotnej Matki był przepełniony. Ta sytuacja spowodowała wg informacji przekazanych przez Dziennik Łódzki szybkie poszukiwanie miejsca w jakimś mieszkaniu.

Jak podaje Dziennik Łódzki o komentarze w tej sprawie, został poproszony MOPS w Łodzi.

Rzeczniczka łódzkiego MOPS Iwona Jędrzejczyk – Kaźmierczak podkreśla, że każda z pań dostała propozycję zamieszkania w innej placówce. Miały też zapewniony transport.

> ***– Jeśli jednak którakolwiek z pań potrzebowałaby obecnie miejsca dla siebie w placówce – to dysponujemy na ten moment zarówno miejscami dla samotnych kobiet, jak i dla matek z dziećmi – wyjaśnia.***

Z informacji przekazanych przez przedstawiciela MOPS w Łodzi wynika, że kobiety w potrzebie mogą być kierowane do: Schronisko dla Bezdomnych Kobiet przy ul. Kwietniowej 2/4, Domu Samotnej Matki przy ul. Broniewskiego 1a, oraz Specjalistycznego Ośrodka Wsparcia dla Ofiar Przemocy w Rodzinie przy ul. Franciszkańskiej 85. W schronisku dla bezdomnych kobiet przy ul. Gałczyńskiego 7 nadal jest też 20 miejsc tylko noclegowych.

> ***– W ostatnim tygodniu nie zgłosiła się do nas ani jedna osoba, która byłaby zainteresowana skorzystaniem z nich-*** *podkreśla Iwona Jędrzejczyk-Kaźmierczak.*

W sprawie zabrał też głos przedstawiciel miejskiego centrum zarządzania kryzysowego Grzegorz Kociołek, który podkreślił, że zakwaterowanie Ukraińców idzie w Łodzi dwutorowo. Są oferowane przez mieszkańców prywatne mieszkania i pokoje.

Przypominamy, że tak skandaliczny przypadek nie jest pierwszym, jaki jest nam znany. 1 marca na naszym portalu poinformowaliśmy Państwa o skandalicznej decyzji podjętej przez starostę biłgorajskiego w zakresie wymeldowania zamieszkujących w internacie ZSBiO i I LO im. ONZ.

Powstaje w tym miejscu pytanie, jakim prawem uchodźca przybywający do obecnego kraju posiada większe prawa niż jego obywatel?

Polaku obódz się, zanim będzie za późno i pomyśl, zanim podejmiesz niekorzystne dla siebie i swoje rodziny decyzje. Zastanów się nad tym czy pomaganie uchodźcom polega na dawaniu im większych praw w kraju, do jakiego przyjeżdżają niż własnym obywatelom.

Źródło: LegaArtis

Goje i geje



Ludzkość, jak wiadomo, dzieli się na dwie kategorie: Żydów i „*gojów*”. Kryterium tego podziału jest proste, jak budowa cepa; „*gojami*” są wszyscy, którzy nie są Żydami. Żydzi bowiem, jak wiele innych ludów, które przechowały aż do dzisiejszego dnia anachroniczne wyobrażenia o sobie – na przykład Kanakowie, a „*Kanaka*” to znaczy po prostu człowiek – tylko siebie uważają za ludzi, podczas gdy wszystkich pozostałych – za istoty tylko człekopodobne. Tak w każdym razie pisał w broszurze „*Chrzecijanin w Talmudzie żydowskim*” ksiądz Bonawentura Pranajtis, który naukowo specjalizował się w hebraistyce i był uważany za jednego z najlepszych znawców Talmudu. Ponieważ nieznajomości Talmudu niepodobna mu było zarzucić, był tedy oskarżany o „*tendencyjną*” jego interpretację. Ale we wspomnianej broszurze, oprócz „*interpretacji*” są też cytaty, więc jeśli ktoś odrzuca „*interpretacje*” księdza Pranajtisa, to na podstawie tych cytatów może wyrobić sobie własny pogląd. Ot na przykład coś takiego: „*Stworzył ich (Bóg) w kształcie ludzi na cześć Izraela, nie są bowiem stworzeni w innym celu, jak dla służenia (Żydom) dniem i nocą.*” Ciekawe, czy wybitny przywódca socjalistyczny Adolf Hitler mówiąc o „*nadludziach*” i „*podludziach*” nie inspirował się przypadkiem właśnie Talmudem? Kiedyś bowiem był on znacznie bardziej rozpowszechniony, niż teraz. Stanisław Cat-Mackiewicz wspomina, że kiedy był redaktorem wileńskiego „*Słowa*”, ze zdziwieniem dowiedział się, że oprócz drukarni tej gazety, posiadającej bodajże tylko dwa

linotypy, jest w Wilnie drukarnia, mająca ich ponad 60. Należała ona do *„Wdowy i braci Romm”* i drukowała właśnie Talmudy, rozsyłane potem na cały świat.

Wspomniałem tu o Adolfie Hitlerze, który – chociaż Żydów nienawidził – paradoksalnie przyczynił się do umocnienia ich pozycji międzynarodowej. Wykorzystując współczucie świata dla Żydów po masakrze, jaka spotkała ich z rąk Niemców podczas II wojny światowej, zaczęli oni formułować wobec *„gojów”* coraz bardziej kategoryczne żądania, które – dzięki wpływowi, jaki uzyskali w Stanach Zjednoczonych – przybrały postać ustawy o zwalczaniu antysemityzmu w Europie. Zdefiniowane zostały tam iście orwellowskie *„myślozbrodnie”*, które albo już są, albo wkrótce będą karane sądownie. Jedną z takich *„myślozbrodni”* jest *„formułowanie (…) stereotypowych opinii (…) o kontrolowaniu przez Żydów mediów, gospodarki, rządu lub innych społecznych instytucji”*. Każdy, kto był, a przynajmniej – kto słyszał o stosunkach panujących w USA, to wie, że takie *„opinie”*, to najprawdziwsza prawda, że Żydzi w znacznym stopniu kontrolują tamtejsze media, przemysł rozrywkowy i gospodarkę, przede wszystkim poprzez kontrolowanie sektora finansowego. Co do kontrolowania rządów, to nie musimy wcale sięgać do przykładów amerykańskich, bo przecież nie tak w końcu dawno, rząd Izraela oficjalnie występował pod adresem Polski o odwołanie z rządu ówczesnego wicepremiera i ministra edukacji Romana Gierycha. Wprawdzie wydarzenia potoczyły się trochę inaczej, ale samo takie żądanie jest dowodem, iż Żydzi przynajmniej chcieliby mieć wpływ na kontrolowanie rządów państw *„gojowskich”*. Ale jeszcze lepszym dowodem takich ambicji jest fragment całkiem świeżego, bo pochodzącego z dni ostatnich, wspólnego oświadczenia organizacji żydowskich *„poparcia roboczej definicji antysemityzmu międzynarodowego sojuszu na rzecz pamięci o holokauście”*: Po wyliczeniu wszystkich *„myślozbrodni”* sygnatariusze deklaracji oświadczają: *„Będziemy wykorzystywać definicję IHRA, między innymi w szkoleniach i edukacji, jako narzędzie zaangażowania i edukacji decydentów, organów ścigania, wychowawców i liderów*

społeczności nieżydowskich. Będziemy zachęcać do stosowania definicji IHRA, jako wskazówki dla nauczycieli, sędziów, prokuratorów i funkcjonariuszy organów ścigania w rozpoznaniu działań antysemickich lub ustaleniu, czy domniemany czyn był motywowany antysemityzmem." Mamy tu wyłożony cały program tresury „*gojów*". Żeby było zabawniej, to we wspomnianym „*oświadczeniu*" czytamy m.in. o „*micie o międzynarodowym spisku żydowskim*". Jak widzimy, to nie żaden „*mit*", tylko rzeczywista rzeczywistość. Toteż Wielce Czcigodna Wanda Nowicka, której syn pochwalał katyński mord na polskich oficerach, bo dzięki temu łatwiej było Sowietom przeprowadzić w Polsce rewolucję komunistyczną, nawołuje do „*potępienia*" przez Sejm kaliskiego marszu, którego kulminacyjnym momentem było groteskowe spalenie „*Statutu Kaliskiego*" – dokumentu, który nie obowiązuje co najmniej od 300 lat. Za tym „*potępieniem*" mogą pójść represje wobec każdego, kto podpadnie pod definicję antysemityzmu z IHRA, która najwyraźniej stawia znak równości między antysemityzmem i spostrzegawczością.

Może to rodzić rozmaite dysonanse poznawcze. Na przykład, gdy biją Murzynów, to bardzo źle i w swoim czasie to właśnie zarzucano Amerykanom, by wykazać wyższość ustroju socjalistycznego nad kapitalistycznym. Gdy goje biją Żydów, to jeszcze gorzej; już nic gorszego być nie może. Jak jednak potraktować sytuację, gdy Żydów biją Murzyni? Tak właśnie było kiedyś w Nowym Jorku, gdzie Murzyni bili Żydów z inspiracji Ludwika Farrakhana, co to oskarża Żydów że wymyślili socjalizm, żeby zniszczyć Murzynów i grozi oskarżeniem ich za udział w handlu niewolnikami, co – mówiąc nawiasem – nie jest pozbawione podstaw i tak się stało całkiem niedawno w Londynie. Murzyni bowiem żadnymi definicjami IHRA się nie przejmują, podobnie jak innymi myślozbrodniami i na przykład w rozmowach między sobą nazywają się wzajemnie „*czarnuchami*", podczas gdy biały człowiek za coś takiego wędruje za kraty. Ale każda akcja rodzi reakcję i pewnie dlatego przewodniczący Światowego Kongresu Żydów bije na alarm, że co trzeci Niemiec poniżej 25 lat ma „*antysemickie*" poglądy. Najwyraźniej Niemcy,

w odróżnieniu od safandulskich Polaków, bardziej zdecydowanie reagują na tresurę, więc sytuacja pewnie ma charakter rozwojowy.

Na tle tego wszystkiego lepiej rozumiemy, dlaczego polscy „*wychowawcy*” i „*liderzy*” Kościoła katolickiego tak gorliwie uprawiają judaszyzm, podczas gdy niemieccy – być może ze względów o których wspomina przewodniczący Światowego Kongresu Żydów, podlizują się „*gejom*”, czyli sodomczykom płci obojga. To podlizywanie się sodomczykom przybiera również postać nowej, uproszczonej teologii, według której Pan Bóg, który stworzył wszytko, a więc – również sodomczyków – a przy tym widział, że wszystko, co stworzył, było „*bardzo dobre*”, nie ma teraz wyjścia, tylko musi „*kochać*” wszystkich jak leci i na wszystko patrzeć przez palce. Prekursorem tej nowej teologii był poeta Henryk Heine, z pierwszorzędnymi korzeniami. Kiedy na łożu śmierci proponowano mu pojednanie się z Bogiem, odparł po francusku: „*Dieu me pardonnera, c’est son metier*”, co się wykłada, że Bóg mi wybaczy, to Jego zawód.

Stanisław Michalkiewicz

Donald Tusk nie jest Polakiem!



Donald Franciszek Tusk urodził się w 1957 w Gdańsku. Ten

chłopiec znany z kopania piłki w dzień i w nocy, mając ambicje wodzowskie i dyktatorskie jak trochę dorósł włączył się do polityki polskiej i w 1990 roku był obok Jana Krzysztofa Bieleckiego i Janusza Lewandowskiego współzałożycielem Kongresu Liberalno-Demokratycznego, którego przewodniczącym został Janusz Lewandowski. Ten cały Kongres był partią aż za bardzo liberalną, gdyż bliski kolega Tuska Jan Krzysztof Bielecki wsławił się między innymi powiedzeniem, że jeśli się chce zostać bogatym, to pierwszy milion trzeba ukraść.

W 1991 roku partia ta weszła do Sejmu (zdobyła 37 mandatów na 460): Bielecki został nawet premierem, a Lewandowski ministrem przekształceń własnościowych (1991, 1992–1993). Wówczas Donald Tusk został liderem Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Będąc u władzy gdańscy liberałowie uruchomili na szeroką skalę prywatyzację państwowego majątku, która w wielu przypadkach polegała na jego rozkradaniu przy udziale zagranicznych koncernów i spółek nomenklaturowych, często związanych z komunistycznymi służbami specjalnymi. Symbolem tych zmian był ówczesny minister przekształceń własnościowych Janusz Lewandowski. Jednocześnie rząd nie zwracał majątku dawnym właścicielom ograbionym przez komunistów (m.in. mojemu ojcu – mgr Edmundowi Kałuskiemu zabrano bez odszkodowania aptekę, która zatrudnia aż 20 pracowników, gdyż wówczas wyrabiano wiele lekarstw na receptę; lokal tej apteki sprzedano wówczas bezprawnie Bankowi Polskiemu)). I dlatego rząd Bieleckiego i sam minister Lewandowski byli nazywani „największymi paserami”, którzy handlowali zagrabionym mieniem. To właśnie ten rząd odpowiada za to, że Polacy znienawidzili prywatyzację.

Mnogość afer gospodarczych, tolerowanych przez słaby rząd, spowodowała, że w odbiorze społecznym KLD stał się nie kongresem liberałów, ale „kongresem aferałów”, był też nazywany „Klubem Liberałów Aferałów”. (3Blog.pl) W 1994 roku naród dał porządnego kopsa w d… tym liberałom-złodziejom i przestała istnieć. Zanim jednak do tego doszło, Kongres, wraz

i innymi antypolskimi partami politycznymi w nocy z 4 czerwca na 5 czerwca 1992 roku wziął aktywny udział w obaleniu prawdziwie polskiego (z ducha i działalności!) rządu Jana Olszewskiego, w czym Tusk odegrał wielką rolę. To on zainicjował obalenie rządu. Nie było w historii RP drugiego takiego przypadku, żeby premiera odwoływano podczas nocnych narad, tylko dlatego, że agenci, kryminaliści i złodzieje bali się jego działań lustracyjnych. Ten zamach stanu przeszedł do historii pod nazwą „Nocy teczek". W 2001 Tusk był współzałożycielem innego politycznego „polskiego" potwora – Platformy Obywatelskiej, a po wygryzieniu przez siebie z tej partii jej innych czołowych działaczy: Andrzeja Olechowskiego i Macieja Płażyńskiego, w latach 2003-14 był jej przewodniczącym, a de facto prawdziwym jej wodzem (duce). W 2005 kandydował na stanowisko prezydenta Polski, lecz przegrał z Lechem Kaczyńskim. W latach 2007–14 był prezesem Rady Ministrów (premierem) Polski.

Należy się dziwić, że aż tylko Polaków głosowało na tego łobuza. Odwdzięczył im się na swój sposób. Jego rząd także okradał naród polski (wielomiliardowe wyłudzenia vatowskie) oraz ponosi dużą winę za tragedię smoleńską 2010 roku (śmierć prezydenta wraz z 95 innymi ważnymi w państwie politykami i osobami w katastrofie samolotowej: jego ręce są zbroczone w ich krwi!). Jako premier uczynił z Polski prawdziwego pachołka Unii Europejskiej i Niemiec, przez co stał się pupilkiem kanclerz Merkel. Dzięki niej w latach 2014–19 był przewodniczący Rady Europejskiej (tam doprowadził do wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej), a od 2019 jest przewodniczącym Europejskiej Partii Ludowej, w której posłowie niemieccy („liberałowie" i lewacy) do Parlamentu EU grają pierwsze skrzypce i w którym wraz z innymi lewakami są prawdziwymi wrogami Polski. To zgodnie z tradycją niemiecką. Niemcy byli wrogami odrodzonej Polski (1918-39, którą do spółki ze Związkiem Sowieckim we wrześniu 1939 r. wymazały z mapy politycznej Europy) i są wrogami powstającej z kolan Polski po upadku serwilistycznych wobec UE i Niemiec rządów

Platformy Obywatelskiej w 2015 roku.

Donald Tusk jest patronem tej wrogości – stoi na czele antypolskości. Oto jeden spośród wielu dowodów na to: w internetowym „W Dolnym Śląsku.com" (12.6.2017) w artykule pt. „Jacek Saryusz-Wolski przerywa milczenie! „Donald Tusk działa na szkodę Polski"" czytamy: „Europoseł (Jacek Saryusz-Wolski) mówi wprost, że Donald Tusk działa na szkodę Polski, a totalna opozycja (w Polsce, czyli Platforma Obywatelska) kieruje się wyłącznie prywatą, a nie interesem kraju… Byłem na sali plenarnej, kiedy Donald Tusk poparł procedurę Komisji Europejskiej prowadzącą do sankcji przeciw Polsce. Powiedziałem sobie w myślach: **„Co za szmata".** (…) Polski rząd jest dziś asertywny, walczy o interes Polski. To pozytywna zapowiedź. (…) Lepiej niż rząd PO realizuje kwestie związane z bezpieczeństwem energetycznym, Nord Streamem 2, Gazpromem. Pielęgnuje Wyszehrad. Nie zapomina o Weimarze. Jest stanowczy wobec Rosji. Przełomem jest sprowadzenie wojsk NATO do Polski i przesunięcie naszych zasobów militarnych na wschód. Także zwiększenie nakładów na obronność…". Podobnych akcji ze strony Tuska było wiele. Bardzo wiele.

Powracam więc do swojego pytania postawionego w 2009 roku.

Otóż w „KWORUM. Polsko-Polonijnej Gazecie Internetowej" dnia 21 listopada 2009 ukazał się mój artykuł pt. „Czy Donald Tusk jest Polakiem?", który spotkał się z dużym zainteresowaniem ze strony Czytelników „KWORUM" i zapewne wielu innych Polaków. Odnotowanych jest 29 063 wejścia na tę stronę. Uważam, że warto powrócić do tego tematu nie tylko przez ciągłe ataki Tuska na rząd Prawa i Sprawiedliwości i Polskę, ale także dlatego, że ten osobnik ciągle marzy o zostaniu prezydentem Polski, chociaż wszystkie sondaże pokazują, że zdecydowana większość Polaków mówi mu „Nie chcemy ciebie, bo twoje rządy były katastrofalne dla Polski". On to ignoruje, licząc że z pomocą „zagranicy" – konkretnie „liberalno"-lewackiej Unii Europejskiej, która w taki czy innym sposób – nie oglądając się na wolę Polaków i zasady demokracji odsunie od władzy

Prawo i Sprawiedliwość. Poza tym wiemy dziś trochę więcej gorzkiej prawdy o Donaldzie Tusku i jego rodzinie, która nie tylko uzupełnia ten artykuł, ale także jeszcze bardziej przedstawia Tuska w ciemnym kolorze i odbiera prawo do uważania go za polityka POLSKIEGO.

To ten artykuł:

Czy Donald Tusk jest Polakiem?

W biogramie Donalda Tuska opracowanym albo przez niego samego, albo przez jakiegoś jego przyjaciela czy kolegę partyjnego, a zamieszczonym w Wikipedia.pl czytamy: Donald Franciszek Tusk (ur. 22 kwietnia 1957 w Gdańsku) – polski polityk, z wykształcenia historyk, Prezes Rady Ministrów od 16 listopada 2007, przewodniczący Platformy Obywatelskiej.

W biogramie tym nie ma nic o jego pochodzeniu etnicznym i jego rodzinie – przodkach.

Jednak powszechnie wiadomo, że Donald Tusk jest Kaszubem. Jako Kaszuba przedstawia go m.in. także Wikipedia.pl w haśle „Kaszubi".

Z tego hasła dowiadujemy się, że Kaszubi to słowiańska autochtoniczna ludność Pomorza – Gdańskiego i Zachodniego (Szczecińskiego), należąca do plemion lechickich, spośród których powstał współczesny naród polski. Jednak Pomorze, w tym kolebka współczesnej Kaszubszczyzny przez długie okresy czasu należała to do Polski, to do Niemiec (we współczesnym znaczeniu tego wyrazu). Stąd wielu z nich deklarowało przynależność do narodu polskiego lub niemieckiego, a część z nich uważała się i uważa za osobny naród. Ci zachowali własną kulturę i język. W spisie powszechnym z 2002 roku 5 100 obywateli polskich zadeklarowało narodowość kaszubską, podczas gdy język kaszubski zadeklarowało 52 665 osób.

Do jakiej grupy etnicznej zalicza się Donald Tusk? Czy jest Kaszubem-Polakiem, Kaszubem-Niemcem czy Kaszubem narodowości

kaszubskiej?

To jest bardzo istotne i na czasie pytanie, na które Polacy mają prawo uzyskać pełną i zadowalającą odpowiedź, dlatego, że Donald Tusk sprawuje już urząd premiera rządu polskiego i ma zamiar kandydować podczas najbliższych wyborów na prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej.

Polacy mają więc prawo poznać życie i działalność najbliższej rodziny Donalda Tuska. Na razie wiemy tylko, że jego dziadek podczas II wojny światowej był żołnierzem hitlerowskiego Wehrmachtu. – I tylko tyle. Całą prawdę w tej sprawie się przemilcza.

Wielu Polaków tego nie wie, a sam Tusk i jego ludzie właśnie przemilczają, że etniczny Polak zgodnie z hitlerowskim dekretem nie mógł być żołnierzem Wehrmachtu. Do Wehrmachtu byli wcielani m.in. ci Kaszubi, którzy po hitlerowskim podboju Polski we wrześniu 1939 roku i przyłączeniu Kaszubszczyzny do Wielkich Niemiec przyjęli Volkslistę.

Według Wikipedia.pl: Volkslista (niem. Deutsche Volksliste DVL) to niemiecka lista narodowościowa wprowadzona 2 września 1940 roku na podstawie reskryptu Heinricha Himmlera. Na terenach polskich, przyłączonych do Rzeszy Niemieckiej w 1939 roku volkslistę wprowadzono zarządzeniem z dnia 4 marca 1941 roku.

Dalej tam czytamy: „Volkslista była przejawem rasistowskiej polityki III Rzeszy. Wprowadzona została w celu podziału ludności na zajętych terenach Polski – zarówno na terenie Generalnego Gubernatorstwa, jak i na terenach włączonych w granice administracyjne Rzeszy. Szczególnym naciskom poddawani byli mieszkańcy Śląska, Wielkopolski oraz Kaszub. Na tych terenach stosowano całą gamę środków przymusu: od nacisków administracyjnych (grożenie eksmisją z mieszkania, odebrania kartek żywnościowych, przeniesienie do gorszej pracy), poprzez represje policyjne (uporczywe wzywanie na policję, bicie),

kończąc na wywożeniu członków rodziny do obozów koncentracyjnych lub przesiedleńczych i warunkowaniu ich zwolnienia podpisaniem niemieckiej listy narodowościowej”.

Jest to jednak tylko pół prawdy. Tak się składa, że moja rodzina ze strony matki jest kaszubskiego pochodzenia; także moja matka urodziła się na Kaszubach. Oczywiście, że były naciski na to, aby tamtejsza autochtoniczna ludność polska (inna była wysiedlana lub fizycznie tępiona) przyjęła Volkslistę. Jednak kto czuł się patriotą polskim jej nie przyjął, tak jak np. właśnie mój dziadek i jego dzieci, w tym także moja matka. Miała wystawiony odpowiedni dokument, w którym potwierdzona była jej polska narodowość i jako Polka została skierowana do przymusowej pracy u lokalnych Niemców.
Znam te sprawy bardzo dobrze z opowiadań dziadka i mamy. Tak więc Volkslistę przyjęło wielu Kaszubów przede wszystkim dlatego, że uwierzyli propagandzie, że hitlerowska Rzesza będzie trwała tysiąc lat. Stąd – z pobudek czysto oportunistycznych postanowili sobie zabezpieczyć spokojną przyszłość przyjmując Volkslistę. Powtarzam: **dokonywali oni świadomej zdrady narodowej**– byli zwykłymi renegatami! Tych renegatów skupiała założona przez hitlerowców organizacja Kaschobenvolk, która stawiała sobie za cel pełną germanizację Kaszubów.

Warto byłoby wiedzieć, czy dziadek Donalda Tuska przyjął Volkslistę naprawdę pod przymusem czy z chęci zostania Niemcem – służenia hitlerowcom i czy nie był on i rodzina Tusków działaczami Kaschobenvolk. Czy ktokolwiek z rodziny Donalda Tuska należał do polskiej nielegalnej organizacji wojskowej działającej na Kaszubach – Gryf Pomorski?

To że wielu Kaszubów, którzy przyjęli Volkslistę w 1944 czy 1945 roku po wzięciu do niewoli na frontach zachodnich podało się jako Polacy i wstąpiło do Wojska Polskiego na Zachodzie, nie zawsze, ale często wypływało we zwykłego wyrachowania. Ludzie ci widzieli, że diabli biorą Niemcy i Niemców i trzeba ratować swoją skórę.

Wymownym byłby fakt, gdyby się okazało, że Donald Tusk mówi po niemiecku i że znajomość tego języka wyniósł ze zgermanizowanego domu rodzinnego!

No i sprawa najważniejsza.

Kaszubi mieszkają dziś (od 1920 r.) w Polsce. Widać, że 90% z nich przyznaje się do polskości. Czy do polskości przyznaje się także i Donald Tusk? Czy jego „polskość" nie wypływa ze zwykłego wyrachowania?

Nie ulega wątpliwości, że ma on ambicje wodzowskie i dyktatorskie. Ma sny o własnej potędze – o wejście w posiadanie fotela prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Jako Kaszub-Niemiec czy Kaszub narodowości kaszubskiej nie miał by najmniejszej szansy, aby zrealizować to swe marzenie: rządzenie państwem – niezależnie jakim: Polską, Niemcami czy Peru. Zrealizować to marzenie może jedynie przyznawanie się do polskości – do udawania, że się jest Polakiem.

Tak, do udawania z siebie Polaka. Bo osobiście mam duże wątpliwości co do tego, że Donald Tusk jest naprawdę z krwi i kości Polakiem. Gdyby takim był na pewno nie napisał by tak oto o polskości:

W ankiecie na temat polskości opublikowanej w miesięczniku „ZNAK" (Kraków) w nr 11-12 z 1987 roku str. 190, Donald Tusk tak mówi o sobie: „Jak wyzwolić się od tych stereotypów, które towarzyszą nam niemal od narodzenia, wzmacniane literaturą, historią, powszechnymi resentymentami? Co pozostanie z polskości, gdy odejmiemy od niej cały ten wzniosło-ponuro-śmieszny teatr niespełnionych marzeń i nieuzasadnionych urojeń? Polskość to niemoralność – takie skojarzenie nasuwa mi się z bolesną uporczywością, kiedy tylko dotykam tego niechcianego tematu. Polskość wywołuje u mnie odruch buntu: historia, geografia, pech dziejowy i Bóg wie co jeszcze, wrzuciły na moje barki brzemię, którego nie mam specjalnie ochoty dźwigać… Piękniejsza od Polski jest ucieczka od Polski

– tej ziemi konkretnej, przegranej, brudnej i biednej. I dlatego tak często nas ogłupia, zaślepia, prowadzi w krainę mitu. Sama jest mitem”.

Pan Jezus powiedział: „Po owocach ich poznacie”.

Niestety działalność Donalda Tuska jako rzekomego Polaka i była i jest często antypolska: m.in. udział w obaleniu naprawdę polskiego rządu Jana Olszewskiego w 1992 roku, zwalczanie rządu Prawa i Sprawiedliwości 2005-2007 do takiego stopnia, który śmiało można nazwać szkodzeniem Polsce i narodowi polskiemu i jego rządy jako premiera od 2007 roku, które w wielu przypadkach można posądzić o to samo.

Czy znajdzie się jakiś odważny historyk czy dziennikarz krajowy, który opowie nam prawdę o rodzinie Donalda Tuska i o jego domniemanej polskości, zanim ten człowiek zostanie prezydentem RP?!

Marian Kałuski
www.kworum.com.pl/art2856…
Australia 20.11.2009